



—♦♦♦♦♦—
**Skradzione
pocałunki 01
Specjal**

Elizabeth Rolls
Opowieść żołnierza

A SOLDIER'S TALE



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Panna Philippa Wintercombe siedziała w salonie Alderley Hall zatopiona w lekturze, nie zwracając uwagi na gości, których podejmowała jej ciotka, lady Alderley.

- Musimy koniecznie postanowić, co wystawimy - oznajmiła panna Lancelyn-Greene i wydeła rozkosznie usteczka. - Święta za pasem, lady Alderley. Musimy mieć przedstawienie gotowe na Trzech Króli, w przeciwnym razie panowie cały dzień spędzą na grze w bilard, a po kolacji zasiądą przy brandy. - Spojrzała z niesmakiem na lorda Bellinghama. Sam wśród dam nie miał się z kim napić, drzemał przeto w fotelu, pochrapując z cicha.

- To prawda, kochanie - przytaknęła lady Alderley. Taktownie nie zwracając uwagi na szwagra, podała filiżankę herbaty pani Lancelyn-Greene. - Dominik nie wiadomo kiedy przyjedzie, żal pomyśleć, że cały świąteczny czas miałyby spędzić w pokoju bilardowym. Nie rozumiem, co go zatrzymuje, powinien już dawno być w domu. - Westchnęła bezradnie.

Jej siostra, lady Bellingham, mruknęła coś z cicha o nieodpowiedzialności młodych ludzi.

- Wie, że tu jestem"?- - Panna Lancelyn-Greene poprawiła złoty lok.

Philippa otuliła się szczelniej szalem. Nie tyle przeszkadzały jej przeciągi, nieuniknione w domu zbudowanym przed czterystu laty, co był to gest symboliczny, znak izolowania się od konwersujących przy herbatce dam. Powiedziała sobie po raz nie wiadomo który, że niewiele ją obchodzą plany matrymonialne kuzyna Dominika.

- Ależ oczywiście powiadomiłam go, że ty i twoja mama gościecie w Alderley Hall - zapewniła Hermione matka nieodpowiedzialnego młodzieńca.

Buzia panny spochmurniała jakby odrobinę.

- Boczy się ciągle na mnie za to, co mu powiedziałam wiosną, że nie powinien wracać na wojnę. Jakby Anglia nie mogła wygrać bez niego! Niechby przyznał w końcu, że miałam rację, i przestał się dąsać.

- No właśnie. - Pani Lancelyn-Greene dystyngowanie saczyła herbatę. - Lord Alderley powinien dojrzeć, że postąpił w najwyższym stopniu nierozważnie. Zaniewidział na jedno oko, ale to nic - stwierdziła, nieświadoma komizmu swojej uwagi.

- Pewnie, że nic - zgodziła się żywo lady Bellingham.

Philly miała dość.

- Panowie bardzo serio traktują zerwanie zaręczyn. Okropnie samolubna dyspozycja, ale tak **już** jest - stwierdziła, dumna, że wypowiedziała

tę mądrość życiową tonem nad wyraz spokojnym, bo prawdę rzekłszy, miała ochotę przyłożyć Hermione w głowę książką.

Lady Bellingham i pani Lancelyn-Greene spojrzały na nią mało przychylnie, ale żadna nie była łaskawa skomentować uwagi.

Hermione natomiast przyjęła ją z całą prostodusznością.

- Masz rację, Philly. Dotąd nie mogę zrozumieć, dlaczego Dominik ze mną zerwał.

Oskarżenie, że Dominik postąpił niegodnie i wycofał się z danego słowa, Philly musiała stanowczo oprotestować, jako że było to jawne oszczerstwo.

- Miałam wrażenie, że to ty zerwałaś zaręczyny, Hermione. Powiedziałaś przecież, że nie będziesz czekać ani dnia dłużej niż zwyczajem przyjęty czas żałoby Dominika. Dodałaś, że jak dla ciebie, może zginąć na wojnie albo wrócić kaleką, i zwolniłaś go ze słowa.

Lodowata mina pani Lancelyn-Greene świadczyła, że to przypomnienie było całkowicie nie na miejscu.

- Zapominasz się, Philipppo! - rzuciła ostrym tonem lady Bellingham, która miała wyrobione pojęcie na temat tego, co wypada, a co nie przystoi.

Philly w milczeniu przygryzła wargę.

- Och, było, minęło - powiedziała Hermione.
- Jestem gotowa zapomnieć o tym, jak wymknął się o bladym świcie, z nikim się nie żegnając. I jeszcze stroi fochy.

Philly nic już nie powiedziała i wróciła do lektury, choć cisnęły się jej na usta słowa, które nie przystoją damie.

- Myślę, że Dominik nadal cię kocha, ale jest strasznie uparty - powiedziała lady Alderley i zamilkła na moment. - Z ręką podobno już wszystko dobrze, nie wiem, czemu tak zwłóczy z powrotem. Przecież w Londynie nie ma teraz nikogo z naszej sfery.

Znając kuzyna, Philly miała wszelkie prawo przypuszczać, że interesują go całkiem inne sfery.

Hermione pociągnęła nosem.

- Pewnie mu się wydaje, że da mi nauczkę. Co tam, przedstawienie ważniejsze. Trzeba pomyśleć, co pokażemy, a on i tak musi wrócić do domu na święta.

- Myślałam, że to już postanowione - zdziwiła się lady Bellingham. - „Kopciuszek” albo „Śpiąca Królowa”...

- Tak myślałam - zgodziła się Hermione - ale potem uznałam, że to głupie.

Zaintrygowana Philly mimo woli podniosła głowę znad książki, zaś Hermione mówiła dalej:

- Bo co to za przedstawienie - Królowa śpi przez cały czas. A Kopciuszek - Tańczą tylko, nie mają czasu lepiej się poznać i pokochać. Niedorzeczne.

Philly miała ochotę zauważyć z pewną dozą cynizmu, że kiedy na horyzoncie pojawia się herbowa partia, bliższa konfidencja, nie mówiąc już o miłości, wcale nie musi być koniecznym

warunkiem do zawarcia małżeństwa, nawet jeśli druga strona nie jest całkiem błękitnokrwista. Hermione miała za to inną niepodważalną zaletę, a mianowicie była dziedziczką.

- Czy to, że się nie znają, stanowi probierni - zapytała grzecznie. - Przecież to bajka. Jeśli ktoś wierzy we wróżki i różdżki, nie powinien krzywić się na miłość od pierwszego wejrzenia.

- To nie ma absolutnie nic do rzeczy, Philippo - obruszyła się lady Alderley. - Chodzi o to, żeby Hermione i Dominik, to jest Księżniczka i Książę, mieli jak najwięcej wspólnych scen. - Wymieniła z panią Lancelyn-Greene znaczące spojrzenie.

- I żeby rzecz była wiarygodna - uzupełniła pani Lancelyn-Greene.

- Och - powiedziała Philly. - Rozumiem.

I rzeczywiście rozumiała. Ośmiozgłoskowe jamby nie pochłaniały jej aż tak bardzo, by straciła kontakt z rzeczywistością. Wszyscy pragnęli, by poróżniona para pogodziła się wreszcie i pobrała.

- Myślisz, że Dominik będzie chciał zagrać Księcia, Hermione?

Panna Lancelyn-Greene zrobiła wielkie oczy.

- Dlaczego miałyby nie chcieć ?

Philly mogła wymienić kilka powodów, ale wyłożyć je byłoby trudno. Jeśli Hermione sama nie potrafiła odpowiedzieć sobie na swoje pytanie, niewiele zrozumiałaby z wyjaśnień.

- Myślałam o „La Belle et la Bete” - oznajmiła Hermione radośnie.

- „La Belle et la Bete”?- - powtórzyła Philly.

Musiała na moment stracić czucie w palcach, bo książka wypadła jej z dłoni.

Hermione wpatrywała się w nią, nic nie rozumiejąc.

- „Piękna i Bestia” - wyjaśniła na wszelki wypadek. - Jezu! A taka niby jesteś czytana.

- Znam tę baśń - obruszyła się Philly. - Przypomina historię Jefty z biblijnej Księgi Sędziów - dodała złośliwie. - Z tą różnicą, że tam ojciec składa córkę dziewicę w ofierze Bogu, a tu oddaje Bestii.

- Doprawdy, Philippo. - Lady Alderley aż dostała wypieków. - Potrafisz być taka nieokrzesana.

- Przepraszam, ciociu.

- Piękna musi zamieszkać w pałacu Bestii, a to daje czas, żebyśmy... żeby oni - poprawiła się szybko Hermione - zakochali się w sobie.

Philly zacisnęła dłonie. Pamiętała doskonale pustą twarz Dominika, kiedy wiosną odjeżdżał z Alderley Hall po zerwaniu zaręczyn, żeby dołączyć do wojsk Wellingtona.

- W rzeczy samej - przytaknęła. - Jeśli zakończenie wyda ci się zbyt banalne, możesz odwołać się do biblijnej wersji i poderżnąć dziewczęcze gardło.

- Philippo! - zawołały chórem lady Alderley i lady Bellingham.

- Przepraszam cioteczki.

Sądząc po ich minach, żadna z dam nie uwierzyła w szczerłość tych przeprosin.

- Och nie, tego nie zrobimy. To takie niero-

mantyczne - powiedziała Hermione, panna niewinna i naiwna, i zwróciła się do lady Alderley:
- Ale w gruncie rzeczy pomysł dobry. Jak pani sądzi?

Lady Alderley najpierw posłała Philly mordercze spojrzenie, potem rzekła po namyśle:

- To baśń, moja droga. A nam potrzebna jest sztuka.

Hermione zbyła jej obiekcję wytwornym machnięciem ręki.

- Drobiazg. Napisać sztukę to nic trudnego. Starczy mi jeden wieczór i będzie gotowa.

- Zaiste, drobiazg - mruknęła panna Wintercombe i skryła się za książką, nakazując sobie grobowe milczenie.

- Philly, masz papier? - niecierpliwiła się Hermione. - I pióro? Zaraz siądę do pisania.

W mig dostała papier, liniał, pióro, inkaust i zasiadła do liniowania kartek przy akompaniamencie cichych pochrapywań lorda Bellinghama.

Po chwili odłożyła przybory.

- Jakie to nudne - stwierdziła z dąsem.

- Moje biedactwo - wzruszyła się pani Lancelyn-Greene. - Panna Wintercombe nie ma nic do roboty, niech liniuje kartki, a ty zacznij pisać.

- Wyborny pomysł, Philippa chętnie to zrobi.

- Lady Alderley spojrzała na nią. - Pomożesz, moja droga?

- Chętnie. - Należało odpokutować jakoś pomysł uczynienia z Hermione ofiary całopalnej po uprzednim podejrzeniu jej gardła. Zabrała się do

pracy, słuchając, jak lady Alderley i pani Lancelyn-Greene rozważają, czy lepszy ślub w kwietniu, czy może w maju...

- Trzeba mieć na względzie pogodę - tłumaczyła pani Lancelyn-Greene.

- To prawda. - Lady Alderley zmarszczyła czoło.
- Z drugiej strony lepiej wcześniej niż później.

Głośny pisk Hermione wieścił nieszczęście.

- Paznokcie złamałam na tej wstrętnej temperówce - zapłakała.

Philly z rezygnacją odebrała Hermione wstrętą temperówkę i bardzo starannie zaostrzyła pióro, bo chciała zadowolić drogą Hermione.

W salonie zaległa cisza. Hermione wpatrywała się nieruchomo w czystą, poliniowaną kartkę papieru, jakby oczekiwała, że pojawią się na niej cudownym sposobem pierwsze słowa sztuki o Pięknej i Bestii. W końcu zaczęła pisać.

Philly odetchnęła: najważniejsze to zacząć, potem już jakoś pójdzie.

A jednak w chwilę później Hermione stwierdziła z irytacją:

- To jednak strasznie nużące! W dodatku mam palce w atramencie. Źle zatemperowałaś pióro, Philly. Chodź i sama zobacz.

Philly wstała, podeszła do stolika, przy którym siedziała Hermione, spojrzała na kartkę, na której było mnóstwo skreśleń, kilka błędów ortograficznych i całkiem spora kolekcja kleksów.

- Pisz się Bestia, nie Bestja.

Hermione posłała jej wściekłe spojrzenie.

Na Philly nie zrobiło ono wrażenia, tylko klarowała:

- Na początku warto by umieścić listę postaci, zastanowić się, jakie nadać im imiona.

- Postaci?

- Osoby, które pojawią się w sztuce - wyjaśniła cierpliwie. - Siostry Pięknej, jej ojciec. Byli też jacyś bracia, ale ich możesz pominąć. W ten sposób będziesz wiedziała, kto mówi, w jakim momencie i do kogo się zwraca. Musisz zaplanować sceny, podzielić sztukę na akty.

Hermione słuchała wskazówek z tępyim wyrazem twarzy.

- Naprawdę? To strasznie nudne - stwierdziła już po raz trzeci. - Może ty mogłabyś to zrobić?

Philly chciała zaprotestować, ale lady Alderley ją ubiegła.

- Doskonały pomysł, Hermione. Philippa z pewnością chętnie ci pomoże.

Zła, że wyrwała się z dobrymi radami, Philly zaczęła sporządzać listę postaci, potem podzieliła opowieść o Pięknej na sceny i akty. Skończyła i oddała szkic Hermione.

- Proszę bardzo - powiedziała chłodno i dodała, nie mogąc odmówić sobie jeszcze jednej uszczypliwości: - Chyba że mam za ciebie napisać sztukę.

Hermione nadała się, a pani Lancelyn-Greene posłała Philly spojrzenie, które byłoby w stanie zmrozić górę lodową. Niewiele sobie robiąc

z reakcji obu pań, Philly wróciła do liniowania kartek. Dyskusja o dacie ślubu została wznowiona przy akompaniamencie pochrapywań lorda Bellinghama.

Minęło kilka minut, kilka zmiętych w kule kartek poleciało w kierunku kominka, po czym Hermione stwierdziła:

- To całkiem niezły pomysł.

- Jaki pomysł, kochanie?

- Żeby Philly napisała sztukę - sprecyzowała panna Lancelyn-Greene.

- Ale wtedy nie będzie to twoja sztuka - uświadomiła niedoszłej autorce dramatycznej Philly.

- Ale to przecież mój pomysł - obruszyła się autorka. - Ty tylko wszystko spiszesz, a ja potem poprawię całość - ciągnęła już rażno. - Sztuka będzie moja. Moje nazwisko umieścimy na programie. Jak pięknie... Nie zdążymy już wydrukować programów, ty je zrobisz, odręcznie, dobrze, Philly? Możesz umieścić nawet swoje nazwisko pod moim jako „pomoc” albo coś takiego - dodała łaskawie.

- To niezwykle miła propozycja - powiedziała Philly, starając się ze wszystkich sił, by jej słowa zabrzmiały szczerze.

- Bardzo dobry pomysł, Hermione - pochwaliła lady Alderley. - Philippa będzie miała tym sposobem zajęcie.

- A jeśli Dominik nie przyjedzie na święta?
- zapytała Philly.

- Nonsens - stanowczo stwierdziła lady Alderley. - Napisałam do niego wczoraj. Drogi kuzyn Alex zabrał list do Londynu i obiecał przypomnieć Dominikowi o jego obowiązkach.

Dominik James Martindale, szósty wicehrabia Alderley, uniósł powiekę i jęknął. Pomimo zaciągniętych zasłon szare światło grudniowego poranka waliło po oczach niczym wroga bateria armatnia. Głowa pękała. Pił w nocy bez umiaru, licząc, że uda mu się przespać cały dzień. Co go u licha obudziło? Pomacał poduszkę obok. Pusto.

Znowu ten dźwięk. Kroki.

Ktoś chodził po saloniku. Zapewne Briggs, lokaj. Dominik jęknął ponownie i zaklął. Niech to wszyscy diabli. Przecież dał mu wychodne, nie powinno być go w domu, chyba że... Nie, Clarissa wróciła do siebie, Briggs musiał o to zadbać.

Klnąc na czym świat stoi, podniósł się z łóżka, włożył szlafrok. Zobaczył swoje odbicie w lustrze i skrzywił się. Nocne picie fatalnie odbiło się na jego fizjonomii. Kobiety, wino i śpiew. Nie wino, tylko brandy, śpiewów też nie było, chociaż Clarissie buzia się nie zamykała.

Zawiązał pasek szlafroka i przeszedł do saloniku, by sprawdzić, kto miał czelność zakłócić jego spokój.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy wszedł do saloniku, w nozdrza uderzył go ciężki fetor po nocnej hulance: zastały odór cygar, brandy i seksu oraz, nieoczekiwanie, zapach świeżej kawy. Ale nie kawa sprawiła, że znieruchomiał, i nie ogień wesoło trzaskający na kominku, i nie oczyszczający powiew świeżego powietrza idący od uchylonego okna.

Oto w fotelu koło kominka siedział zagłębiany w lekturze „Gentelman's Magazine” jego kuzyn oraz potencjalny dziedzic, Alex Martindale - wielbny Alex Martindale.

Alex podniósł głowę, Dominik stężał, ale twarz kuzyna nic nie wyrażała, nie malowało się na niej zgorzsenie ani zaskoczenie, nic. Zacisnął tylko usta.

- Ach, obudziłeś się. Nie gniewasz się, że rozпалиłem ogień? Było tu trochę chłodno, a two... hm... twój służący właśnie wychodził, kiedy podjechałem pod dom.

Dominik miał na tyle przyzwoitości, że się zaczerwienił. Z Briggsem wyszła przecież Clarissa, której osobę Alex taktownie pomiął.

Rozejrzał się, ogarniając wzrokiem pozostałości po swoich i gości wyczynach: puste butelki, niedopałki i, rzecz najgorsza, damskie niewymowne zwisające z ramy, w którą oprawiona była grawiura w bardzo wątpliwym guście. Dominik poczuł, że żywy ogień oblewa mu policzki.

- Mógłbyś zamknąć okno. - Chciał jak najszybciej usunąć kompromitującą część damskiej garderoby z pola widzenia wielebnego.

Alex uniósł brwi, zadrgały mu kąciki ust, a potem zmrużył oczy.

- Mógłbym, ale wolę świeże powietrze od zaduchu.

- Napijesz się?

- Zrobiłem sobie kawę - Alex wskazał dzbanek i filiżankę stojące na stoliku obok fotela - ale jeśli masz ochotę na brandy, wypiję z tobą kieliszek.

- Zostańmy przy kawie. Zapewne zauważyłeś, że wczoraj trochę przesadziłem... Co cię sprowadza do Londynu?

- Kto, nie co. Twoja matka.

- Słucham? - Dominik, który właśnie szukał w szafce drugiej filiżanki, wyprostował się gwałtownie i huknął głową o półkę.

- Dała mi list i kazała jechać do miasta.

- Rozumiem. - Rozmasował kontuzjowaną potylicę. Dopóki rodzicielka nie pojawiła się osobiście, da się jakoś wytrzymać, pomyślał. Sięgnął po dzbanek i zaczął napełniać pustą już filiżankę kuzyna. Ręka mu drżała tak, że musiał pomóc

sobie lewą dłonią. Trochę kawy wylało się na spodeczek. Dominik zaklął cicho, świadom, że Alex cały czas bacznie mu się przygląda. Z drugą filiżanką poszło już zgrabniej.

- Do diabła, dlaczego nic nie powiedziałeś?
- wybuchnął Alex.

- Żeby matka zjechała do Londynu? Lekarze dość mi uprzykrzyli życie. Dlatego zatrzymałem się tutaj, a nie w Martindale House. Nie chciałem, żeby mnie niańczyła. Ale o... swojej kondycji coś jej napisałem.

- Wybornie - sarknął Alex. - Mnie też mogłeś zawiadomić. Wiesz przecież, że przyjechałbym natychmiast.

- Po co ? Żeby się nade mną rozczulał?

- Żebyś miał się z kim kłócić i kogo przeklinać, zamiast upijać się do nieprzytomności i zabawiać z połową londyńskich dziwek.

- Wygłaszasz kazanie? - zainteresował się Dominik i usiadł w fotelu po drugiej stronie kominka.

- Jeśli uważasz, że to ci pomoże, zabawiaj się ze wszystkimi dziwkami Londynu i chlej brandy beczkami.

Dominik zakrztusił się kawą.

- Dość o tym - oznajmił Alex z powagą.
- Mam polecenie od lady Alderley, żeby dopilnować twojego przyjazdu do domu, ale kiedy widzę cię w takim stanie, nie wiem, czy powinienem.

- Nie jestem odpowiednim towarzyszem dla dam?

Wielebny mruknął coś, czego Dominik wolał nie dosłyszeć, a potem dodał:

- Niech cię diabli. Dla nikogo nie jesteś od powiednim towarzystwem, chyba że dla siebie samego. Wracaj do domu, człowieku, i zmień nawyki. Rozumiem, że się ociągasz. - Alex wykrzywił się w ponurym uśmiechu. - I ja bym się nie spieszył na twoim miejscu, ale im dłużej będziesz zwłóczył, tym gorzej. Dziw prawdziwy, że nikt jeszcze nie napisał do twojej matki.

Dominik wyszczerzył zęby.

- To dlatego, że omijam miejsca, w których zwykły bywać kumy drogiej mateczki, poza tym o tej porze roku Londyn świeci pustkami. Podoba ci się moje mieszkanie? - zagadnął prowokująco.

Alex zdjął okulary do czytania i omiótł pokój niespiesznym spojrzeniem, zatrzymując wzrok na damskich majtkach zwisających z ramy grawiury.

- Twoje- I ten zapach fiołków... Zacząłeś używać fiołkowych perfum? Zmieniłeś się, staryszku.

Dominik wybuchnął śmiechem.

- Niech mnie kule biją. Nic nie jest w stanie cię zgorszyć?

- Niewiele jest takich rzeczy - przyznał wielebny kuzyn. - A już ty niczym mnie nie zaścokczysz. - Upił łyk kawy. - Kiedy zamierzasz wrócić do domu?

- Przed świętami - odrzekł po chwili namysłu.

- Świetnie. Wszyscy się ucieszą.

- Wszyscy? Jak mam to rozumieć?

- Panna Lancelyn-Greene. Zjechała kilka dni temu w towarzystwie matki do Alderley.

- Och...

- No i naturalnie Philly.

Dominik zachmurzył się. Kuzynka Philly za mieszkała w Alderley, kiedy jej ojciec podróżnik wyjechał do Indii. Była wtedy jeszcze dzieckiem i z czasem wrosła w dom.

- Od kuzyna Philipa nadal żadnych wieści?

- Była to dość bolesna świadomość.

- Od ostatniego listu będzie ze...

- Trzy lata - dokończył Dominik. - Ktoś jeszcze?

Alex zawahał się lekko.

- Lady i lord Bellingham. Althea z rodziną przyjeżdża na dzień przed Wigilią.

Dominik popijał kawę. Mogło być gorzej. Nie miał nic przeciwko swojej siostrze i jej mężowi Rafe'owi. A Bellinghamowie przyjeżdżali zawsze, zdążył się do tego przyzwyczaić.

- Rozumiem, że wszyscy oczekują moich po nownych zaręczyn z Hermione?

- O tej porze w zeszłym roku miałeś się żenić z panną Lancelyn-Greene - przypomniał spokojnie Alex. - Dlaczego miałbyś się wycofać?

No właśnie, dlaczego?

- Chciałem się żenić, to ona się wycofała - przypomniał z kolei Dominik i dodał szybko, widząc, że Alex już otwiera usta: - Wiem, wiem, obowiązek. Nie musisz nic mówić. Niefortunna decyzja wuja Bellinghama, żeby sprzedać moje

fundusze, sprawiła, że mam teraz połowę tego, co miałem. Małżeństwo z Hermione postawiłoby mnie na nogi.

- I to jest odpowiedź na moje pytanie.

- W rzeczy samej... - Bellingham nie był jedynym, który wpadł w panikę, kiedy rozeszły się pogłoski o klęsce Wellingtona. Ulegając powszechnej histerii, zaczął wyprzedawać obligacje rządowe, z ogromną stratą, jak łatwo zgadnąć. Dominik nie mógł go winić, w każdym razie nie do końca. Gdyby był pomyślał, zanim wszedł na okręt do Belgii, dałby wyraźne instrukcje swojemu plenipotentowi, Hendersonowi, żeby w żadnym wypadku nie sprzedawać obligacji. Nie zrobił tego. I stracił.

- Powinieneś wrócić do domu, staruszk - perswadował Alex - i uporządkować swoje sprawy. Musisz. Ja tego za ciebie nie zrobię.

Dominik nic nie powiedział, bo nie było nic do powiedzenia. Obowiązek, od którego uciekał przez ostatnich pięć miesięcy, należało w końcu wypełnić. Kiedy wracał na wojnę, wiedział, że w razie gdy polegnie, tytuł i przynależne do niego dobra ziemskie znajdą się w pewnych rękach. Alex znał włości Alderley, znał ludzi, oni znali jego.

Ale Dominik nie poległ.

Tytuł i majątek ziemski należały do niego, musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za nie. I ożenić się z Hermione. Chyba nadal pragnął tego małżeństwa. Nie było żadnych powodów, by miał powiedzieć „nie”. Zerwane zaręczyny z pewnością nie były wystarczającym powodem.

Skoro Hermione przyjechała do Alderley, i ona musiała chcieć tego małżeństwa. Entuzjazm Dominika co prawda ochłódł mocno, ale tak zwykle bywa z małżeństwami. Tyle że jemu przydarzyło się to przed ślubem, a nie po.

Ale cóż, Dominik nie miał wielkiego wyboru. Hermione była bogata, dzięki jej majątkowi mógłby zlikwidować poniesione na sprzedaży obligacji straty.

- Kiedy zamierzasz im powiedzieć ? - zapytał Alex.

- O czym?

- Wiesz przecież.

- Ach, o tym... Niedługo się dowiedzą. Pojutrze. Przyjechałeś pewnie dylizanssem pocztowym. Wrócisz ze mną? Mam pokój gościnny, możesz zatrzymać się u mnie.

- Już się rozgościłem, twój Briggs mnie ulokował. Dziękuję. - Alex uśmiechnął się szeroko. - Był pewien, że nie będziesz miał nic przeciwko temu.

Dominik przyjechał do Alderley dwa dni później, pod wieczór. Stary dom oświetlał księżyc, bezchmurne niebo zapowiadało mroźną pogodę. Wszedł po pokrytych szadzią stopniach i po ciągnął za dzwonek przy wielkich dębowych drzwiach frontowych. Latem stały zawsze otworem, zimą zamykano je starannie.

Otworzyły się niemal natychmiast i w progu pojawił się kamerdyner, teraz już jego kamerdyner, Groves.

Dominik z uśmiechem wszedł do holu.

- Dobry wieczór, Groves. Co słyszeć?

- Toż to... panicz Dominik. - Stary cofnął się o kilka kroków.

Dominik zacisnął usta, ale zapytał tylko:

- Pani w domu? - Zdjął pelerynę, rękawiczki, cylinder i podał osłupiałemu kamerdynerowi.

- Jaśnie pani... jaśnie pani jest z gośćmi w salonie, milordzie. - Groves ścisnął kurczowo otrzymane rzeczy i czynił heroiczne starania, by odzyskać kamienną twarz sługi doskonałego.

- Dziękuję. - Dominik ruszył ku schodom. Po wielkiej sieni poniósł się odgłos kroków.

- Milordzie...

- Tak, Groves?

- Czy nie lepiej, żebym... pana zaanonsował. Akurat mam zanieść herbatę. A pan... może na pije się brandy? W bibliotece?

Posłał staremu lodowate spojrzenie.

- To zbyteczne. Nie jestem gościem, Groves. - Niech to diabli. Pisał przecież do matki, uprzedzał ją, że jest okaleczony. Nic nikomu nie powiedziała?

- Oczywiście, ma się rozumieć, milordzie.

- Bardzo dobrze, Groves. - Zaczął wchodzić po schodach.

- Czy jego lordowska mość nie zjadłby kolacji? - dobiegło go jeszcze pytanie zdesperowanego kamerdynera.

Lecz jego zmęczyły już obawy starego sługi.

- Jego lordowska mość nie zjadłby. Wieczerał

w proboszczówce po odwiezieniu pana Martin-dale'a.

Stanął przed drzwiami salonu. Wiedział, kogo tam zastanie: matkę, panią Lancelyn-Greene z Hermione, lorda i lady Bellingham. Philly. Położył z wahaniem dłoń na klamce. Może Groves miał rację? Powinien poczekać, by wyprzedziła go plotka idąca z kuchni? I pojawić się dopiero na śniadaniu? Zobaczyć się pierwej z Philly? Zawsze odznaczała się zdrowym rozsądkiem. Rozważna, choć romantyczna... Mógł być pewien, że przy najmniej ona nie dostanie waporów.

Nie, zbyt długo odkładał ten moment.

Nacisnął klamkę i wszedł.

Poczuł na sobie pięć par oczu.

Słowa powitania uwięzły w pięciu gardłach.

Pięć ust otworzyło się w niedowierzaniu.

Bellingham pierwszy odzyskał głos.

- Cholera, chłopcze, wyglądasz jak jaki pirat!
- zawołał zszokowany.

Ponownie zapadła niezręczna cisza, rozległ się cichy jęk i lady Alderley zemdląca.

Lady Bellingham patrzyła na Dominika nie mniej wstrząśnięta niż mąż.

- Wielkie nieba! Niech ktoś poda sole! - zawołała. - Powinny być w woreczku Louisy. - Pochyliła się nad lady Alderley, poklepała ją po ręce i zaczęła wachlować.

Dominik znalazł w atłasowym woreczku matki flakonik z solami trzeźwiącymi i podsunął go jej pod nos.

Hermione Lancelyn-Greene krzyknęła, zasłoniła usta.

- Och, mamó, niech mama spojrzy!

Dominik podniósł wzrok. Hermione wpatrywała się w jego okaleczoną prawą dłoń z wyrazem najwyższej odrazy na ładnej buzi.

- Pozwól, Dominiku. - Lady Bellingham przejęła flakonik z solami. - Zadzwoń, z łaski swojej, na pokojówkę matki.

Salon opustoszał w ciągu kilku minut i Dominik został sam z matką i jej solami. Pokojówka czekała za drzwiami, gotowa zaprowadzić panią do sypialni.

- Mój synu - odezwała się płaczącym tonem - ta straszna przepaska na oku...

Dominik znieruchomiał.

- Przepraszam, ale pisałem w listach, że straciłem oko.

- Pisałeś, pisałeś - lady Alderley wachlowała się słabymi ruchami dłoni - ale myślałam, że straciłeś wzrok w jednym oku, a nie... nie oko ze szczętem. - Upiła łyk wody amoniakalnej. - Te... blizny... znikną?

- Tak myślę.

- Twoja ręka! - wzdrygnęła się i odwróciła wzrok.

Dominik poczuł dławienie w gardle.

- Wydaje mi się, że o ręce też wspominałem.
- Do diabła, co miał powiedzieć ?

- Och, tak, ale nie myślałam, że tak okrop... że

tak wygląda. - Zamilkła na moment. - Mój drogi, może w towarzystwie powinienes nosić rękawiczkę? To taki... niemiły widok, szczególnie dla wrażliwych dam.

- Przykro mi, mamó. - Z dłonią osłoniętą rękawiczką czułyby się jeszcze paskudniej.

- Dziwię się, że sam o tym nie pomyślałeś - stwierdziła z wyrzutem.

Pomyślał, ale optymistycznie uznał, że w Alderley żadne rękawiczki nie będą mu potrzebne. Powinien zapomnieć o optymizmie.

- Z pewnością miło widzieć cię znowu w domu - powiedziała lady Alderley bez jednej nutki pewności w głosie -ale...

Wreszcie ulitował się nad wrażliwą rodzicielką.

- Musisz być bardzo zmęczona, mamó. Pokójka odprowadzi cię do sypialni. Zobaczymy się rano.

Na twarzy lady Alderley odmalowała się ulga.

- Tak. Tak będzie najlepiej. Powinam się dobrze wyspać, chociaż jestem pewna, że nie zmruję oka. W głowie mi nie powstało... - Próbowała podnieść się z fotela.

Dominik uśmiechnął się z przymusem, pomógł matce wstać, podając lewą dłoń, i odprowadził wstrząśniętą damę do drzwi.

- Dobranoc, mamó.

- Dobranoc. - Lady Alderley odeszła pod opieką pokojówki.

Klnąc w duchu, zszedł na parter z zamiarem wypicia drinka, jak proponował Groves.

Zatrzymał się w wielkiej sieni. Jest w domu. Mury z szarego kamienia, na ścianach tkaniny wystrzępione wiekiem, lampki oliwne na krańcach długiego stołu, złupionego, wedle rodzinnej tradycji, z refektarza pobliskiego klasztoru w czasach, gdy Henryk VIII, odrywając angielski katolicyzm od Rzymu, likwidował zakony. Refleksy światła na białej broni. Strop z krokwiami. Portrety przodków, którzy służyli krajowi w wojennej potrzebie... Sami młodszy synowie, ma się rozumieć. Był i jego portret, w wieku lat dziewiętnastu, z psem u nogi, malowany wkrótce potem, gdy rodzina wykupiła mu patent wojskowy. Wszystko bliskie, swojskie, a jednak wyczuwał jakąś zmianę. Może to on sam się zmienił. Jako młodszy syn został wyprawiony z domu, żeby szukać sobie miejsca wy światcie. Alderley miało przypaść Richardowi.

Ironia losu. On przeżył batalie wojen napoleońskich zakończone krwawym starciem pod Waterloo. Richard, dziedzic majątku i tytułu, został w domu i opiekował się Alderley. On wiódł żołnierski żywot, Richard był lordem i panem na włościach. Każdemu, co się należy.

A jednak los chciał inaczej. Półtora roku minęło od śmierci Richarda i teraz on, młodszy, któremu wcześniej nic się nie należało, nosił tytuł wicehrabiego Alderley.

Kiedy wyjeżdżał z domu wiosną, był przygotowany na to, że może nie wrócić. Nie przerażało go, że polegnie w walce. Nie chciał Alderley, na pewno nie za cenę śmierci brata.

Jego odczuć, planów i nadziei nikt nie brał pod uwagę. Zamiast robić karierę w armii, miał teraz Alderley. Przyglądał się długo skrytemu w pół mroku portretowi Richarda.

- Zrobię co w mojej mocy, staruszk - powie dział cicho. - Przepraszam, że tyle to trwało.

Przeszedł do biblioteki. Ogień z kominka oświetlał grzbiety oprawnych w skórę tomów, kładł się migotliwym blaskiem na perskich dywanach. Ktoś siedział w wysokim fotelu przy kominku, na stole obok paliła się lampka oliwna. Ki diabeł? - Gdy zaskoczony podszedł bliżej, już wiedział, kto schronił się w bibliotece. Dziewczyna spała w najlepsze. Kilka ciemnych loków, które wysunęły się spod skromnego czepka, okalało bladą twarzyczkę.

Jego kuzynka, Philippa Wintercombe. Nie było jej w salonie, gdy tam wszedł. Spała smacznie, kasetka z przyborami do pisania lada chwila mogła zsunąć się jej z kolan. Uśmiechnął się. Nie pierwszy raz Philippie zdarzyło się zasnąć nad... Właśnie, nad czym? - Nad kolejnym listem do ojca?

Ostrożnie podniósł kasetkę. Dał ją Philly na dziesiąte urodziny.

Od kiedy kuzynka zamieszkała w Alderley, raz w tygodniu pisała do ojca, nawet gdy nie wiedziała, gdzie przebywa. Od trzech lat nie miała od niego żadnych wiadomości.

Delikatnie wyjął pióro, które ciągle trzymała w dłoni, i odłożył na stolik.

Miała zimne palce. Zimne i poplamione atramentem. Zawsze były na nich takie plamy. Szal

zsunął się jej z ramion. Nachylił się, by go po
prawić, i poczuł silny zapach lawendy.

Jeden lok opadł na policzek, odgarnął go drżąca
dłonią. Włosy owinęły się wokół palców, jakby
żyły własnym życiem... jakby zapraszały do piesz-
czoty. Bezwiednie pogłaskał Philly po policzku.
Zamrugła, a on znieruchomiał. Uniosła powieki
i spojrzała na niego jeszcze niezbyt przytomnie.
Ona chyba nie zareaguje odrazą, wstrętem

- To ty? - odezwała się

- Tak, to ja. - Dominik wstrzymał oddech,
a Philly westchnęła, otuliła się szalem.

Tyle było w niej spokoju. Odwrócił się z ulgą
i poprawił ogień.

Philly śniła, że Bestia stoi koło kominka we
wspaniałym, bogato haftowanym kaftanie, który
znalazła na strychu... Nie... już wyglądał inaczej.
Nosił ciemny surdut i giemzowe spodnie. Czuła,
że ktoś delikatnie zdejmuje jej z kolan kasetkę,
nachyla się nad nią, otula szalem. Papa? Zawsze
otulał ją do snu, kiedy był w domu. Papa wrócił.
Otworzyła oczy.

Dominik. Bestia.

Zapadała na powrót w sen.

Coś stuknęło i sen uleciał. To polano zsunęło
się na bok. Mężczyzna siedzący na fotelu na
przeciwko nachylił się i przesunął polano na
miejsce... Znała go. Ciemne włosy opadające na
czoło, brązowe oczy... Nie, coś się zmieniło.

Odwrócił się ku niej i krzyknęła wstrząśnięta.

Tam, gdzie powinno być lewe oko, ział czarny oczodół, wokół sine szramy...

Zacisnęła powieki. Przyśnił się jej koszmar, ale czuła przecież ciepło idące od kominka.

- Dominik? - Ponownie otworzyła oczy, zdjęta zgrozą. Lecz on odwrócił się plecami. - Dominiku? - Nie mogła pohamować drżenia w głosie.

Teraz pokazał twarz. Nie było tak strasznie, jak się wydawało w pierwszej chwili. Owszem, blizny na lewym policzku były wyraźnie widoczne, ale z czasem powinny zblaknąć. Czarna aksamitna przepaska na lewym oku wprawiła Philly w szok, ale... można się przyzwyczaić do jej widoku. Ważne, że wrócił bezpiecznie, że jest wreszcie w domu. Niezmieniony.

Czy aby na pewno? W twarzy Dominika pojawiła się coś twardego, co mówiło, że jednak zaszła w nim jakaś zmiana.

- Dobry wieczór, kuzynko.

Ten zimny, oficjalny ton... Rysy jeszcze surowsze niż przed chwilą, jakby odgradzał się od niej. Nigdy nie nazywał jej „kuzynką”, nigdy nie słyszała takiego chłodu w jego głosie. Ale też nigdy nie zdarzyło się jej krzyknąć na jego widok.

Musi coś powiedzieć, cokolwiek.

- Miło cię widzieć w domu, Dominiku. Ja... brakowało nam ciebie.

Zacisnął szczęki. Philippa była przerażona. Pewnie mu się przygląda ze zgrozą w oczach... Na Clarrisie okaleczenie nie zrobiło aż takiego wrażenia... Cóż, odpłacił jej. Z nawiązką.

- Dlaczego skryłaś się w bibliotece?

Philly uniosła brodę, spojrzała mu prosto w twarz.

- Bo tu cieplej - powiedziała spokojnie. - Nie spodziewaliśmy się, że przyjedziesz właśnie dzisiaj. - Podniosła się, zebrała swoje rzeczy. - Nie wstawaj, kuzynie. Dobranoc.

Nie powinien był tak się zachować. Jakby wymierzył jej policzek.

- Philly, nie chciałem... - Owszem, chciał, lecz teraz tego gorzko żałował. Philly ruszyła ku drzwiom. Zerwał się z fotela, dogonił ją i chwycił za nadgarstek. - Philly... - Zamilkł, gdy krzyknęła, i poszedł za jej wzrokiem. Patrzyła przerażona na jego prawą dłoń, pozbawioną środkowego palca, pokiereszowaną i lekko wykręconą pomimo wysiłków chirurgów. Wyglądało to tak, jakby leśna bestia ucapiła niewinną dziewczycę, żeby zaciągnąć ją do swojej kryjówki i pożreć... Szybko uwolnił nadgarstek Philly. - Wybacz, kuzynko - powiedział z lodowatą uprzejmością. - Nie chciałem cię przestraszyć. Dobranoc. - Skłonił się i wyszedł.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Philly rozplakała się. Dlaczego ich nie uprzedził? Owszem, pisał, że stracił wzrok w jednym oku i że był ranny w rękę, ale nie... Co nie?- Że ma blizny i że stracił lewe oko? Że dłoń jest okaleczona? Czy to powód, żeby krzyczeć z przerażenia? Palił ją wstyd. Zareagowała najgłupiej, jak można. Jak gęś. Gdy by tylko była wiedziała!

Niedobrze robiło się jej na myśl, ile Dominik musiał przecierpieć. I nie napisał ani słowa o tym, przez co przeszedł. Nigdy się nie skarżył, niena widział zamieszania wokół własnej osoby, nie chciał, żeby się nad nim rozczulano. Gdyby lady Alderley wiedziała, natychmiast pojechałyby do Londynu wśród szlochów, westchnień oraz za klęć zanoszonych do nieba.

Spojrzała na swój przybornik do pisania i przeszedł ją dreszcz. Sztuka. Teraz już jej nie wystawia. Otworzyła kasetkę, wyjęła manuskrypt i zaczęła go kartkować.

- Dominiku, och, Dominiku... - Z oczu zno-

wu popłynęły łzy. Musi spalić rękopis. Dałaby sobie uciąć prawą rękę, by oszczędzić Dominikowi bólu i zakłopotania. Wzrok padł na słowa opisujące wygląd i kostium Bestii.

Miała wrażenie, że bohater stoi przed nią, taki, jakim zobaczyła go we śnie. Na haftowanym złotą nicią kaftanie igrają refleksy płomieni. Maszka pokryta końskim włosiem, którą dla niego wymyśliła, zniknęła gdzieś, pojawiła się natomiast przekrzywiona peruka. Twarz kryła się w cieniu, ale opaska na oku była widoczna, powoli wysunął prawą dłoń z kieszeni, wyciągnął ją w stronę Philly. Jak czuła się Bestia? Czy zły urok da się odczarować? Czy ktoś pokocha kiedyś Dominikan Nawet jeśli go pokocha, żadna miłość nie cofnie okaleczeń. Jak ciężko żyć z taką świadomością...

Potrząsnęła głową i wizja zniknęła. Ta jej głupia wyobraźnia! Puste rojenia. Podeszła z rękopisem do kominka i zawahała się. Biedna Bestia nie zasługiwała, by strawiły ją płomienie. Wyjęła z kasetki kałamarz i pióro. Zwariowała. Powinna spalić rękopis, ale...

Zabrała się do pracy. Skreślała fragmenty, przepisywała na nowo, dodawała zdania na marginesach, gorączkowo przelewając myśli na papier. Sztuka stawała się bardziej realna. Oczywiście nigdy nie będzie wystawiona, Philly traciła tylko czas, ale Bestia ożywała pod piórem, przeistaczała się w istotę z krwi i kości, więc nie mogła jej teraz strącić w nicość, skazać na niebyt. Da

swojej sztuce dobre zakończenie. Niech Bestia zazna szczęścia, choćby tylko na papierze.

Śniadanie następnego dnia było dla Dominika prawdziwą katorgą, nigdy nie przeżył czegoś podobnego. Zastanawiał się, kiedy wreszcie ktoś odważy się na niego spojrzeć, lecz wszyscy omijali go wzrokiem. Nie, to nie tak. Zerkali ukradkiem, kiedy myśleli, że nie widzi. Nie dziwił się, ale męczyło go prowadzenie rozmowy w ludzi, którzy kierowali oczy gdzieś obok jego lewego ucha, jakby szramy za sprawą spojrzenia miały przenieść się na ich twarze.

Philly, co odnotował z goryczą, wzrok wbiła w talerz, prawie się nie odzywała, jadła niewiele. Jego obecność najwyraźniej odbierała jej apetyt. Dłonią w rękawiczce sięgnął po omacku po dzbanek z kawą i przewrócił miseczkę z marmoladą.

- Och, biedaku! - zagruchała Hermione. - Bardzo boli cię ręka? Należę ci kawy. - Nie czekając na odpowiedź, tak uczyniła, dołała śmietanki i wrzuciła trzy kostki cukru do filiżanki.

- Dziękuję, Hermione. - Upił łyk ulepku.

Hermione rozpromieniła się i zatrzepotała rękami sami.

- To naprawdę żaden kłopot - oznajmiła.

Dominik posłał jej uprzejmy uśmiech. Przynajmniej ona jedna patrzyła na niego.

- Mamo, co planujesz na święta? Urządzisz kolację i tańce dla dzierżawców w Trzech Króli, jak zwykle?

Filizanka lady Alderley zadzwoniła o spodek.

- Doprawdy, Dominiku! Najlepiej będzie odwołać tańce. W świąteczny czas nie pokażesz się chyba ludziom w takim stanie...

- Że co proszę? - Nie próbował nawet ukrywać wściekłości. Gdy całe towarzystwo podniosło głowy, wycedził z gniewem: - Nie ma powodu odwoływać czegokolwiek z mojego powodu. Nie jestem chory ani niedołączy. Święta mają wyglądać tak jak zwykle. - Podniósł się. - Proszę o wybaczenie, ale muszę przejrzeć księgi rachunkowe.

Po śniadaniu panie przeszły do pokoju poranego.

- Coś takiego! - Lady Bellingham zacisnęła usta, a jej siostra opadła bez sił na fotel i położyła dłoń na sercu.

- Prawdziwy wstrząs, droga Gussie. Ta przepaska na oku. I ręka. Dla mnie to nazbyt wiele. Philippo?

- Tak ciociu Louiso?

- Będziesz musiała dopilnować przygotowań, ja nie dam rady. Najmiesz muzyków. A na kolację poda się chleb, ser, może piwo, dla dzierżawców będzie w sam raz. Jeśli Dominik rzeczywiście chce wziąć udział w zabawie... - Wzdrygnęła się. - Przypomnij pani Higgs, że dzisiaj przyjeżdża Althea z mężem i dziećmi...

- Zabawa po naszym przedstawieniu, doskonale

- ucieszyła się Hermione, przerzucając beztrąsko kartki magazynu mód. - Nie sądzisz?

Philly po prostu osłupiała. Hermione nie ma chyba zamiaru...?

- Moja droga... - zaczęła.

- Hermione - wtrąciła lady Alderley omdle wającym głosem. - Zdaje się, że nie rozumiesz...

- Philly odetchnęła z ulgą, że ciotka ją wyręczyła, wskazując na to, co nie powinno wymagać tłu maczenia. - Mówimy o zabawie dla dzierżawców. - Podkreśliła ostatnie słowo. - Dla naszych wieśniaków i ich rodzin. To coś całkiem innego. Oczywiście trzeba się pokazać, ale my siadamy na podwyższeniu, nie pospolitujemy się z chłopstwem. - Wzdrygnęła się na samą myśl o podobnej możliwości.

- Och! - zawołała Hermione. - Ale damy nasze przedstawienie?

- Nie - oznajmiła Philly surowym głosem.

- Nie damy. Nie możesz tego zrobić Dominikowi. Pomyśl, jakby się poczuł.

- Wielkie mi co! - Hermione wyduła usteczka.

- Skoro nie wstydzi się pokazać na tańcach, na pewno chętnie zagra na scenie.

- To dwie zupełnie różne rzeczy. Nie każ mu wcielać się w Bestię. Nawet nie próbuj mu tego proponować - powiedziała Philly.

- Święta racja - przytaknęła lady Alderley.

- Lepiej mu na razie nie zdradzać tytułu sztuki.

Philly zdębiała.

- Tak jest, Louiso - zawtórowała siostrze lady

Bellingham. - Przyjdzie czas, kiedy sam zrozumie, że to jego obowiązek i jak niestosowna byłaby odmowa. Nikt nie współczuje mu bardziej niż ja, niemniej...

- To najgorsze zło, jakie mogłybyśmy mu wyrządzić! Chcecie zmuszać go do zagrania, chcecie, by wystawiał się na widok publiczny?!

- Philly była bliska furii. - Już sam tytuł sztuki...

- Ależ jest jak najbardziej odpowiedni! - za wołała Hermione.

Pani Lancelyn-Greene zaśmiała się wdzięcznie.

- Droga panno Wintercombe, czyżbyś czuła słabość do jego lordowskiej mości - zapytała z przekąsem.

Philly zaczerwieniła się po korzonki włosów, ściągając na siebie podejrzliwe spojrzenie lady Alderley.

- Zapominasz, gdzie twoje miejsce, Philippo - stwierdziła lodowato lady Bellingham. - Od czucia Dominika to nie twoja sprawa. Nie powinien przypadkiem iść do wsi? Tak? Wobec tego idź. Pospiesz się.

Philly wyszła z pokoju wściekła i rozgoryczona. Był tylko jeden sposób, żeby przedstawienie się nie odbyło i Dominik nigdy o niczym się nie dowiedział. Będzie musiała cofnąć efekty swojego wczorajszego szaleństwa.

Teraz nie ma czasu. Musi iść do wsi, a przedtem jeszcze zobaczyć się z panią Higgs, gospodynią Alderley, i pomyśleć, gdzie wynająć muzyków. Dni są takie krótkie. Po trzeciej już zacznie

zmierzchać. Kiedy wróci do domu, z największą radością oznajmi pannie Lancelyn-Greene, że rękopis strawił ogień.

Dominik zaraz po śniadaniu zabrał się do sprawdzania ksiąg rachunkowych. Pod jego nieobecność w majątku zabrakło pańskiego oka, brakowało też pieniędzy, żeby teraz nadrobić zaniedbania. Wielu prac, które powinny być wykonane, nie dopatrzono.

Z księgą w ręku i ołówkiem podszedł do kominka. Ranek był wyjątkowo chłodny, Dominik zmarzł, siedząc przy biurku. Rozsiadł się w głębokim, wielkim fotelu, plecami do drzwi. Jeśli ktoś będzie go szukał, być może w ogóle nie zauważy.

Wrócił do sprawdzania przychodów i rozchodów za ostatni miesiąc. Dziesięć lat spędzonych w armii wyrobiło w nim dyscyplinę i poczucie obowiązku, ale w rachunkach całkiem się gubił. Był żołnierzem, nie miał żadnego doświadczenia w zarządzaniu majątkiem ziemskim. Miał jednak dobrego zarządcę i wszystkiego się nauczył.

Kolejna rzecz: w najbliższych dniach musi porozmawiać z panią Lancelyn-Greene i ponownie prosić o rękę Hermione. Datę ślubu ogłoszą w Trzech Króli.

Drzwi się otworzyły i zamknęły.

- Tutaj będziemy mogły porozmawiać spokojnie, kochanie.

Słodki głosik pani Lanceley-Greene.

- Tak, mamó?

- Chodzi o lorda Alderleya. Biedaczysko.

Dominik, który zamierzał właśnie się ujawnić, zamarł.

- Chcę wiedzieć, czy nadal jesteś gotowa na małżeństwo. Jego lordowska mość na pewno zechce ze mną rozmawiać na ten temat przy pierwszej sposobności. A zatem...?

- Czemu miałabym zmieniać zdanie ?

Dobry obyczaj wymagał, by wstał natychmiast i pokazał się paniom, ale tylko głębiej wcisnął się w fotel.

- Nie przeczę, że był to dla mnie ogromny szok, ale to nie wpływa na mój stosunek do Dominika. - Słyszac te słowa, zamknął oko. - Wciąż jest wicehrabią, chociaż wrócił z wojny tak strasznie okaleczony - mówiła dalej Hermione on zaś otworzył oko. - Kiedy już dochowa się dziedzica, będzie chciał spędzać większość czasu w Alderley, a ja mogę bawić w Londynie. Nie muszę go widywać, chyba że od czasu do czasu. Tak będzie wygodnie.

- Oczywiście, kochanie. Po ślubie wszystko się zmienia.

Dominik dopiero teraz poczuł, że zaciska z całych sił dłonie.

- Tak, mamó. Biedny Dominik. Nie mogę dać mu teraz kosza, tym bardziej kiedy trzeba ratować majątek. - Zostało to wypowiedziane tonem cnoty niezłomnej.

Męczennica, pomyślał Dominik. Gotowa dać

się ukamienować albo łamać kołem. Spłonąć na stosie. Oto moc hipokryzji.

- Ma się rozumieć, kochanie. Lord Alderley proponował bardzo korzystną intercyzę. Doprawdy, bardzo korzystną. - Pani Lancelyn-Greene zadumała się na moment. - Jak powiedziałaś, on z pewnością wybierze rozkosze wiejskiego życia, a ty będziesz mogła swobodnie zażywać całkiem innych przyjemności.

O tak, pomyślał Dominik, kiedy zamknęły się drzwi za paniami, pozostawi Hermione absolutną wolność. Nie śmiałyby ingerować w jej usłane przyjemnościami życie.

Pół godziny później szedł leśną ścieżką do wsi, ziejąc ogniem niczym baśniowy smok. Smoczy oddech, tak mówili w dzieciństwie, kiedy kogoś zdjęła nagła furia.

Był skończonym idiotą. Nie dostrzegął, nie chciał widzieć, jak płytko i powierzchowna jest panna Lancelyn-Greene. Jej kaprysy składał na karb wychowania. Ot, rozpieszczona, otoczona niezwykłym zbytkiem jedynaczka. Nawet gdy zerwała zaręczyny, nie przejrzał na oczy, nie dopuszczał do siebie myśli, że jej uroda była tylko przynętą, na którą miała się złapać gruba ryba.

W jednym miała rację. Wolał siedzieć na wsi, niż bywać na salonach. Oczywiście musi jeździć do Londynu na posiedzenia parlamentu, tego obowiązku nie zamierzał się zrzekać, ale wiek szosć czasu poświęci Alderley.

Zaklął i wydłużył krok. Niestety, ożenić się musiał, co oznaczało, że najbliższy sezon spędzi w Londynie, szukając odpowiedniej partii. Zaciśnął usta. Nie miał złudzeń. Debiutantki, panny na wydaniu, uroczyste stworzenia, będą reagować na jego awanse tak samo jak Hermione. Wszystkie, bez wyjątku.

Lecz cóż, trudno się dziwić. Nie przedstawiał sobą miłego widoku. Co innego kobieta dojrzała, potrafiąca zobaczyć coś więcej niż blizny na policzku, czarną przepaskę i pokiereszowaną dłoń. Ale młoda dziewczyna? Nawet w Philly obudził wstręt, krzyknęła, kiedy dotknął jej nadgarstka.

Odetchnął głęboko. Philly. Wydawało mu się, że z całej rodziny ona jedna mogłaby...

Nie. To nieracjonalne. Musi działać rozsądnie, inaczej zrobi z siebie głupca. Poszuka jakiejś miłej kobiety w swoim wieku, dobiegającej trzydziestki, która dawno pożegnała się z nadziejami na zamążpójście. Wyświadczy jej przysługę, w zamian ona pomoże mu zarządzać Alderley. Zawrą uczciwy układ, oboje będą wiedzieć, na czym stoją i czego mogą się spodziewać. O takim małżeństwie powinien myśleć. Będzie to związek bez uczucia, ale bezpieczny.

Tak łamiąc sobie głowę nad wyborem potencjalnej kandydatki na wakujące stanowisko pani na Alderley, doszedł do wsi, ujrzał w oddali wieżę kościoła i zagłębienie terenu znaczące koryto rzeki. A trochę bliżej drobną postać pokonującą

dziarsko niski płotek między dwoma polami. Zmrużył oczy. Czyżby to była...? Tak, Philly. Mając w pamięci jej reakcję poprzedniego wieczoru, nie próbował wołać, ale ona właśnie się odwróciła i pomachała mu dłonią.

Czekała na Dominika z bijącym sercem, opierając stopę na najniższej poprzeczce ogrodzenia. Słońce połyskiwało w jego ciemnych, rozwichrzonych włosach. Wyglądał źle, taki wymizerywany, zmęczony. Serce się jej ścisnęło, ale wołała nie pytać, jak się czuje, czy ręka sprawia mu ból.

Seter, którego zabrała z sobą, podbiegł do Dominika, wymachując ogonem jak szalony. Dominik nachylił się i pogłaskał przylepę. Ciekawe, czy rozpoznał w nim Bena, szczeniaka, którego sam wybrał ostatniej wiosny?

- Dzień dobry, Dominiku - odezwała się. Tym razem nie zrobi z siebie idiotki, postanowiła w duchu. - Idziesz do wsi?

- Witam, kuzynko. - Skinął zdawkowo głową. - Chciałem zaprosić Aleksa na jutro na kolację.

- Ja też idę na plebanię. - Philly uśmiechnęła się. - Masz ochotę...?

- Nie, dziękuję. Wolę iść sam, Philippo. - Za brzmiało to zimno, obcesowo.

Philippa. Starła się nie okazać, jak bardzo zabolą ją ta odprawa.

- Oczywiście...

- To Ben?

Spojrzała na niego z wahaniem.

- Tak. Pilnuję, żeby miał dużo ruchu... i uczyć go. - Dominik przed wyjazdem prosił łowczego, żeby wytresował Bena na psa myśliwskiego, ale pies bał się strzałów i tak trafił pod opiekę Philly.

- Jeśli chciałaś pieska pokojowego, dlaczego wybrałaś akurat mojego Bena? On nie jest na salony - warknął Dominik. - Zepsułaś go.

Philly spaśowała, zdjęła stopę z ogrodzenia.

- Ben, noga. - Pies przybiegł natychmiast. - Siad. - Ben usiadł i wywalił jęzor. Philly przypięła do obroży smycz i wcisnęła ją do ręki Dominikowi. - Zostań. - Wróciła do ogrodzenia, zamierzając przejść przez nie. - Dlaczego nas nie zaawiadomiłeś? - natarła na Dominika. - Pomyślałeś choć przez chwilę, jaki to będzie wstrząs dla wszystkich? Że sprawisz nam ból? Że naprawdę przejmujemy się twoim losem? - Odwróciła się szybko, powstrzymując piekące łzy. Noga ześlizgnęła się z poprzeczki, Philly zachwiała się i krzyknęła.

Dominik rzucił się, by ją podtrzymać. Oparła się o niego, urażając okaleczoną dłoń. Ostry ból przeniknął rękę aż do ramienia. Dominik zacisnął zęby. Philly odzyskała równowagę, wystraszona cofnęła się o krok.

- Dominiku?

Bał się, że głos go zawiedzie, jeśli spróbuje odpowiedzieć. Usiadł na płotku i oddychał głęboko, wodząc zdrową dłonią po chorej.

- Twoja ręka!

Zanim zdążył zareagować, klęczała już przy nim. Zdjęła mu rękawiczki, ujęła okaleczoną dłoń i zaczęła ją masować. Ból złagodniał, z ostrego stał się tępy, wreszcie ustał, ale Dominik nie cofał dłoni.

- Czy... teraz lepiej? - W głosie Philly słysząc było napięcie.

- Tak. Znacznie lepiej. Dziękuję.

Philly podniosła wzrok.

- Przepraszam - szepnęła. - Naprawdę nie chciałam sprawić ci bólu.

Ciągle klęczała na wilgotnej ziemi i wpatrywała się w niego tymi swoimi orzechowymi oczami. Dominik nagle zrozumiał. Nie mówiła o ręce, tylko o wczorajszym wieczorze. A przecież on sprawił jej znacznie większy ból.

Nie zastanawiając się, co robi, dotknął policzka Philly. Nie szarpnęła się, nie odwróciła wzroku, uroniła tylko łzę i ta łza była dla Dominika niczym cios prosto w żołądek. Był tak zgorzkniały, że w każdym słowie, w każdym geście upatrywał oznak odrzucenia i ranił ludzi. Delikatnie otarł łzę.

- Wczoraj wieczorem... - zaczęła Philly, ale położył jej palec na ustach. Były takie miękkie, ciepłe.

- Nie musisz nic mówić. Rozumiem. - Pamiętał, jak rozpaczała, gdy wiele lat wcześniej Juno wpadła we wnyki i uwalniali ją wspólnymi siłami. Philly nie płakała nad poranioną łapą suki, tylko nad jej cierpieniem. Reakcja czującej istoty na ból innej istoty.

Posadził ją obok siebie na ogrodzeniu i otoczył ramieniem. To dotknięcie było prawdziwym wstrząsem. Obejmował kobietę! Wstał szybko.

- W niczym nie zawiniłaś - powiedział ze ściśniętym gardłem. Dobry Boże. Przecież to Philly, jego kuzynka, którą znał od dzieciństwa. Ciągłe oszołomiony własną reakcją, próbował zażartować. - Tkwiałem kilka godzin nad księgami rachunkowymi.

- No tak - odpowiedziała z galanterią. - To musiało być okropne.

- Trochę inaczej planowałem swoje życie.
- Podał jej ramię.

- Zapewne, ale to też ważna praca. I znacznie bezpieczniejsza niż służba w wojsku. Przynajmniej nie będziesz musiał opędzać się od kul.

Dominik zaśmiał się.

- Czasem nie udaje się opędzić.

- Czy... tak właśnie się to stało-

- Pytasz o rękę? Tak. Dostałem z muszkietu. A oko straciłem od cięcia szablą. Wdała się infekcja...

Zatrzymała się i ostrożnie przesunęła palcami po szramach wokół przepaski. Zdumiony i zaskoczony Dominik stał nieruchomo. Nie powodowała nią ciekawość. W jej geście nie było czułościwej litości. Oznaczał po prostu akceptację.

- Mieliśmy szczęście - powiedziała drżącym głosem.

Akceptację i wdzięczność dla losu.

Wstrząsnęło to nim do głębi.

Philly odsunęła się.

- Trudno ci teraz ocenić odległość, prawda? Dlatego przewróciłeś przy śniadaniu marmoladę... - Zabrzmiało to zupełnie naturalnie. Nie, nie litowała się nad nim, chciała tylko zrozumieć.

- Pewnie tak - przytaknął, kiedy ruszyli dalej.

- Po części to kwestia oka, ale i ręka jest jeszcze słaba, niezbyt sprawna, nie tak pewna jak kiedyś.

- Uśmiechnął się z wysiłkiem. - Udało mi się już przewrócić niejedną miseczkę z marmoladą, nie mówiąc już o tym, ile rzeczy upuściłem.

Czy to łzy załśniły w oczach Philly?

Nie odważył się pytać. Przeszli przez kamienny mostek i znaleźli się we wsi, Ben, oczywiście, pierwszy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Philly otworzyła furtkę proboszczówki.

- Musimy się pożegnać tutaj. Obiecałam panu Rutherbridge'owi, że mu dziś poczytam. - Mówiła o miejscowym proboszczu.

- Chory? - zaniepokoił się Dominik. Lubił Rutherbridge'a. Staruszek od czterdziestu lat sprawował posługę w Alderford. To on ochrzcił wszystkie urodzone tu dzieci, udzielił ślubu niemal wszystkim miejscowym małżeństwom, także rodzicom Dominika. Jakiś rok temu, kiedy zaczął opadać z sił, ustanowił wikarym Aleksa Martindale'a, licząc, że ten przejmie po nim parafię.

- Zaziębienie - wyjaśniła Philly. - Rzuciło się na płuca. Ale najgorsze jest to, że coraz słabiej widzi. Odwiedzam go kilka razy w tygodniu i czytam mu.

- Przecież Alex...

- I bez tego ma dość obowiązków, a dla mnie to przyjemność. Pan Rutherbridge to kochany czło-
wiek, a od czasu, gdy owdowiał, czuje się samotny.

Dominik uśmiechnął się. Cała Philly. Zawsze gotowa pomagać ludziom.

- Przyjdę po ciebie, tylko powiedz, kiedy. Za godzinę? Dwie?

- Nie musisz.

- Niemiłe ci moje towarzystwo?

- Możesz wziąć z sobą Bena.

Puścił tę propozycję mimo uszu.

- Zjawię się za dwie godziny. Uprzedź pana Rutherforda, że złożę mu krótką wizytę.

Zmrużyła oczy, a potem wyprężyła się na baczność.

- Tak jest, sir! - Trzasnęła obcasami i zsalu towała, po czym weszła do ogrodu.

Przyglądał się z uśmiechem, jak podeszła do drzwi, przywitała się z gospodynią, panią Judd, która zagapiła się na niego, nie ukrywając ciekawości.

Usłyszał jeszcze jej słowa:

- Właśnie mówiliśmy, czy panienka dzisiaj przyjdzie. A ten pan z panienką... to jego lordowska mość? Nigdy bym... - Drzwi się zamknęły i Dominik nie dowiedział się, czego pani Judd by nigdy.

Dwie godziny. Miał przed sobą dwie godziny w tętniącej życiem wiosce Alderford.

Okazało się, że dwie godziny minęły nie wiadomo kiedy. Przeszedł się po wsi, witał ze znajomymi. Nie przeszkadzały mu współczujące spojrzenia. Blizny na twarzy zbladły. Ludzie ściskali

mu dłoń z pewnym wahaniem, ale to dlatego, że raczej bali się go urazić, nie zaś czuli wstręt na widok okaleczenia. Wkrótce wszyscy przywykną do jego widoku. Ważniejsze było to, co powie działa Philly.

Jak udało się jej wyrazić to, co jemu cały czas umykało? Że obowiązek pozostaje obowiązkiem, służba służbą. Zmieniła się tylko formuła, ale nie powołanie. I nie wymóg posłuszeństwa.

Rozważania Dominika przerwał Barling, leśniczy w dobrach Alderley. Chwilę wspólnie się zastanawiali nad zimowymi polowaniami, po czym Barling powiedział:

- Prosił pan przed wyjazdem, żebym przyuczył Bena, ale nie udało się. Strachliwy strasznie z niego szczeniak.

- Strachliwyi

- Ano - przytaknął leśniczy. - Boi się strażaków, że nie wiem co, ale to miły psiak. Panna Philly wzięła go pod opiekę. Uczy go posłuszeństwa i w ogóle... Będzie miała z niego pociechę, ale do polowań się nie zda.

Dominik pożegnał się z Barlingem i odszedł jak niepyszny. Pomyślał, że pora wracać do proboszczówki, gdy zobaczył Aleksa, który właśnie wychodził z jakiegoś domu.

- Witaj, Alderley. Właśnie o tobie myślałem
- przywitał go kuzyn. - Pamiętasz Obadiaha?
- Wskazał na starszego mężczyznę idącego ścieżką ogrodową.

Dominik uśmiechnął się.

- Jak się masz, Obadiahu. - Obiada Battersby, który niegdyś trudnił się kłusownictwem, zabawiał kolejne pokolenia wiejskich dzieci coraz to wymyślniejszymi opowieściami o utracie nogi.

- Jakoś się żyje, raz lepiej, raz gorzej - powie działy stary.

- Obadiah ma kłopoty z dachem - dodał Alex.

Dominik spojrział na chatę, która, jak wiele innych, stanowiła własność Alderley. Brakowało kilku dachówek, zresztą cały dach wymagał na tychmiastowej naprawy. W Dominiku złość za wrzała. Dlaczego nikt nie zadbał o naprawy przed zimą? Teraz, przy mrozach, strach było posyłać na górę dekarzy.

Battersby przestępował z nogi na nogę i miał czapkę w dłoniach.

- Już mówiłem wielebnemu i pannie Philly, że to nic takiego... że nie warto... ale panna Philly chciała, żeby Hopkins się tym zajął, to on powie działy, że dach musi poczekać.

Dominik zacisnął usta. Hopkins, zarządca majątku, powinien był dopilnować remontu, nie czekając na przynaglenia Philly, a już na pewno jej nie zbywając.

- Dach musi być naprawiony - powiedział Dominik. - Jutro przyślę człowieka, który to zrobi.

- Bardzo dziękuję. Dobrze, że jego lordowska mość już w domu, cały i zdrowy. - Uznał widać, że jego słowa mogły zabrzmieć nieszczerze, bo dodał zaraz: - I nie bez dach to mówię.

Zamienili jeszcze parę słów. Na koniec Dominik wymógł na Obadiahu, że przyjdzie na zabawę, i odszedł z Aleksem.

- Widzisz, to nie takie trudne, komendy tylko trochę inne - stwierdził Alex.

Dominik spojrzał na niego zdumiony.

- Rozmawiałeś z Philly?

- Z Philly? Dzisiaj? Nie. Dlaczego pytasz?

Powtórzył, co mu powiedziała.

- Philly jest niezwykle inteligentną kobietą - rzekł z uśmiechem Alex.

Inteligencja, bez wątpienia, ale...

- Kobieta?

- Była nią w każdym razie, kiedy widziałem ją ostatnio - stwierdził kpiąco.

- Była dzieckiem, kiedy widziałem ją ostatnio - sparafrazował kuzyna.

- Prawda - przytaknął rozbawiony Alex. - Ty przez długi czas widziałeś tylko pannę Lancelyn-Greene.

Niestety Alex był osobą duchowną i Dominik nie mógł mu przyłożyć.

- Wróciłem do siebie - powiedział tylko.

- Cieszę się. - Alex uniósł brwi. - Mam nadzieję, że nie był to zbyt ciężki powrót.

Dominikowi nie chciało się ripostować. Teraz, kiedy oceniał swoje zadurzenie chłodnym okiem, widział wyraźnie, że planowane małżeństwo byłoby jedną wielką pomyłką, nawet gdyby wrócił z wojny bez blizn i okaleczeń. Próbował wyobrazić sobie Hermione, która odwiedza pana

Rutherbridge'a, żeby mu czytać na głos, albo troszczy się o stan chaty Obadiaha. Dla niej Alderley stanowiło wyłącznie oznakę statusu, oprawę dla urody i sukcesów towarzyskich. Ni gdy nie zrozumiałyby tego miejsca i mieszkają cych tu ludzi, nie potrafiłyby traktować Alderley jak domu. Nie pasowała tutaj.

- Dokąd idziesz?

Dominik wyjął zegarek z kieszonki kamizelki, sprawdził czas.

- Do proboszczówki. Umówiłem się z Philly. Jest u Rutherbridge'a, czyta mu.

Philly siedziała z wielebny m w wypełnionym książkami saloniku. Kilka książek leżało na stoli ku obok jej fotela. Czytała melodyjnym głosem, a staruszek nachylał się ku niej gorliwie, by nie uronić ani jednego słowa.

Ben przywitał gości, waląc radośnie ogonem w podłogę, ale ani mu w głowie było ruszyć się sprzed kominka. Leżał wygodnie w rozkosz nym ciepłe trzaskającego ognia, w dodatku miły siwy pan głąaskał go stopą...

Philly podniosła wzrok, ale nie przerwała czy tania. Dominik słuchał, przyglądał się. Zdjęta czepek i ciemne loki spadały swobodnie na ramio na. Alex miał rację. Philly dorosła. Nie była już panienką, którą pamiętał, lecz młodą kobietą. Bardzo piękną kobietą... Jak mógł tego nie do- strzec?

Doszła do końca fragmentu i zamknęła książkę.

Pan Rutherbridge poprawił się w fotelu.

- Dziękuję ci, moja droga. Na dzisiaj koniec. Bardzo ci jestem wdzięczny, że przyszedłeś.

- To dla mnie przyjemność - powiedziała Philly. - Poza tym...

Rutherbridge zaśmiał się.

- Przychodziłabyś, nawet gdyby nie sprawiało ci to przyjemności. A jeśli idzie o oko jego lordowskiej mości - ciągnął, nieświadom obecności gości. - Smutna sprawa, nie przeczę. Grunt, że wrócił i że jest gotów wypełniać swoje obowiązki, zamiast tkwić w Londynie i zamartwiać się kalectwem. Strata oka to już wystarczająco kiepska sprawa, żeby jeszcze tracić szacunek do samego siebie.

Philly posłała bezradne spojrzenie kuzynom. Biedny pastor i mocno niedowidział, i był przygłuchy.

- Cieszę się, że pan tak myśli, sir - odezwał się Dominik, ani trochę zbity z tropu. - Przyszedłem porwać Philly.

Pan Rutherbridge obrócił się w fotelu.

- Alderley? A niech mnie. Bardzo się cieszę. Wiesz, wzrok już zawodzi, ale mam Philly. I ten miękki chodniczek, który z nią przychodzi. - Do tknął stopą grzbietu Bena, na co rudzielec machnął ogonem.

- Ja też tu jestem, sir - dodał Alex.

Rutherford rozpromienił się.

- Wybornie. Zagramy partyjkę szachów przed kolacją?

Philly podniosła się z fotela.

- Kiedy mam przyjść znowu, sir?

- Nie chcę nadużywać twojej grzeczności, młoda damo. Wiem, jak bardzo jesteś potrzebna lady Alderley, szczególnie teraz, kiedy zjechali goście...

- To nic - zapewniła Philly. - Przyjdę, kiedy będę mogła.

- Znaczy się, kiedy lady Alderley nie będzie akurat miała dla ciebie nic do roboty. Nie ruszam się z domu, ale wiem, co się dzieje. Zabieraj ją, Alderley.

- Oto i Battersby. - Philly pomachała staremu kuternodze, który tymczasem usiadł sobie przed gospodą. - Dach...

- Alex już mi wszystko powiedział. Jutro dach będzie naprawiony. - Obadiaha otaczała chmara dzieciaków. - Pewnie opowiada im, jak to piraci odrąbali mu nogę i rzucili na pożarcie rekinom - mruknął Dominik. - W każdym razie ja słyszałem taką wersję, kiedy byłem mały. Chryste, pokazuje na mnie! Ciekawe, co to może znaczyć.

Philly parsknęła śmiechem.

- Pewnie wyjaśnia maluchom, że tak właśnie wyglądają piraci. Albo ich równie groźni i okrutni potomkowie... - Zatchnęła się, widział, jak zrobiło się jej głupio. - Przepraszam, Dominiku, ależ ze mnie idiotka.

- Nie masz za co przepraszać, kozo. W końcu przepaska na oku dodaje człowiekowi godności.

To lepsze niż drewniana noga Obadiaha w za-
stępstwie pożartej przez rekina.

Philly zachichotała.

- Mnie opowiadał o żarłocznym krokodylu.

- I oczywiście mu uwierzyłaś? - Zawtórował
jej śmiechem.

Spiekła raka.

- Miałam zaledwie osiem lat. Pewnie, że mu
uwierzyłam.

- Osiem, powiadasz? - Dominik przystanął.

- Jakoś tak.

Teraz miała... dziewiętnaście. Zatem...

- Philly, mieszkasz u nas już od jedenastu lat,
czyż nie?

- Tak. - Posmutniała, uśmiech zniknął z jej
twarzy, jakby ktoś zdmuchnął wesoły płomień.

Dominik miał ochotę kopnąć się w zadek. Co
za diabeł go podkusił, żeby przypominać jej, ile lat
nie widziała ojca? I że od trzech lat nie odezwał
się do niej słowem... Ujął jej dłoń i wsunął sobie
pod ramię. Czekala, wiecznie czekała... A przecież
najgorsza jest niepewność.

Wracali do domu w milczeniu, dopiero gdzieś
w pół drogi Philly powiedziała:

- On nie żyje. Tak myślę, a jednak...

- Nadal do niego piszesz.

- Wiem, że to głupie... Ale nawet jeśli odszedł...

Nie wiem, nie dowiem się, nie mogę go opłakiwać...

- To wcale nie jest głupie. - Cóż, nigdy nie
będzie wiedziała, który jej list przeczytał jako
ostatni, kiedy, gdzie... Powinna nadal pisach

Philly zmieniła temat:

- Co będzie z Benem? On boi się strażaków.
- Zajął się nim. Rozmawiałem z Barlingiem, Wyjaśnił mi, dlaczego wzięłaś Bena, i powinie nem ci podziękować.

- Nonsens. Co to za problem przyuczyć szczeniaka?

Dla niej żaden. Dominik zmarszczył czoło. Kochała zwierzęta, ale nigdy nie miała swojego. Jeździła na cudzych koniach, zajmowała się cudzymi psami. Wszyscy traktowali jej pobyt w Alderley jako chwilowy, a minęło jedenaście lat.

- Chciałabyś go na własność? - Pytanie padło, zanim Dominik je rozważył. W oczach Philly zabłysła iskierka zachwytu i już wiedział, że dobrze zrobił. Serce mu się ścisnęło. - Niech to będzie prezent noworoczny.

Jej oczy przygasty, przygryzła wargę.

- Dziękuję, ale chyba nie. Nie dlatego się nim opiekowałam.

- Wiem, głuptasie. Spójrz tylko na niego, to twój pies. Mnie nie pamięta. Wybiorę sobie innego szczeniaka. - Wyszczrzył zęby. - Sukę. I będziemy konkurować, które z nich lepsze.

Posmutniała jeszcze bardziej.

- Nie chcę się do niego przyzwyczajać. Będę musiała się z nim rozstać...

- Rozstać? Dlaczego, do cho... dlaczego, do diaska, miałabyś się z nim rozstawać?

- Wyjadę przecież kiedyś z Alderley - powie działa rzeczowym tonem.

Cały świat nagle zachwiał się Dominikowi. Wyjedzie? Jak to?

Zrozumiał w jednej chwili i poczuł coś, czego nie potrafił nazwać. Jakby odezwała się w nim dzika bestia, która zaraz ryknie w proteście. Alex powiedziała mu przecież: Philly nie jest już dzieckiem, dorosła. Nawet jeśli on jest ślepy, inni mężczyźni widzą w niej kobietę.

Dostrzegają to, co dopiero teraz zaczął do strzeżać: delikatne usta, ładny podbródek, kobiece kształty ukryte pod starą peleryną. I te orzechowe oczy, które zdają się przenikać człowieka na wskroś. Philly: cicha, rozmarzona i niezwykle przy tym praktyczna.

Starając się, by zabrzmiało to w miarę grzecznie, zapytał:

- Ktoś... poprosił cię o rękę? - Nie wyobrażał sobie innego powodu, dla którego miałaby opuścić Alderley. Tu był jej dom. I niech go kule biją, nie odda Philly byle komu, ten ktoś musi być jej godny.

- Na Boga, nie! - Zaczerwieniła się. - Nie bądź niemądry, Dominiku. Kto miałby prosić mnie o rękę? Nie mam przecież grosza.

Zielonooka bestia przycichła, pomrukiwała tylko groźnie.

Gdyby takie pytanie zadała jakakolwiek inna kobieta, Dominik zareagowałby z właściwym sobie cynizmem, ale to była Philly. Wszystko się w nim burzyło na myśl o targowisku matrymonialnym, na którym panna bez posagu nie miała

żadnych szans na zamążpójście, chyba że jakiś szaleniec o złotym sercu zakochałby się w niej po uszy.

- Chwileczkę - powiedział. - Masz przecież posag. W obligacjach. Kuzyn Philip wpłaca... wpłacał od czasu do czasu jakieś pieniądze. Musi być tego kilka tysięcy funtów. Mój ojciec za rządził tymi papierami.

- Ach, nie ma tego zbyt wiele. Nic godnego uwagi. Powinniśmy przyspieszyć, dzisiaj po południu przyjeżdża twoja siostra. Obiecałam cioci Louisie, że dopilnuję, by pokoje gościnne były gotowe.

Dominik puścił ponaglenie mimo uszu.

- Jeśli nikt ci się nie oświadczył... jeszcze - podkreślił ostatnie słowo - dlaczego więc mówisz o wyjeździe z Alderley?

Uniosła lekko brodę.

- Najwyższa pora pogodzić się z tym, że tata nie wróci. Muszę zacząć myśleć o sobie.

- Co za bzdury chodzą ci po głowie, skarbie - mruknął, nie przebijając w słowach.

- To nie bzdury - obruszyła się Philly - tylko zdrowy rozsądek. Nie mogę do końca życia siedzieć wam na karku.

„Siedzieć na karku”. Co za określenie! Philly miała wyjątkowy dar stwarzania sobie problemów. Poinformował ją w krótkich słowach, że jeśli jeszcze raz wspomni o „siedzeniu nam na głowie”, to będzie przez tydzień jadła kolację w kuchni, zamiast przy rodzinnym stole.

Pokornie przyjęła burę, szczęśliwa, że odeszli od tematu jej nieistniejącego posagu. Nie chciała poruszać tej sprawy z Dominikiem. Aż nazbyt dobrze wiedziała, że jest człowiekiem honorowym. Gdyby dowiedział się, co się stało z jej posagiem, uznałby za punkt honoru, by go odtworzyć. A przecież finanse Martindale'ów znajdowały się w opłakanym stanie.

Wyszli z lasu i mieli wejść do parku otaczającego go rezydencję. Ben przeskoczył przez płot, lecz natychmiast zawrócił i przeczołgał się pod najniższą żerdzią, wywijając ogonem.

- Głupek - zaśmiał się Dominik.

Pomyślała, że nic się nie zmienił, choć zarazem wyczuwała odmianę. Nie potrafiła powiedzieć, na czym ona polegała, niemniej... Stał na płotku i wyciągnął do niej dłoń z pogodnym uśmiechem. Może to ona się zmieniła. Nie przypominała sobie, by uśmiech Dominika dawniej przyprawiał ją o szybsze bicie serca, a dotknięcie jego ręki budziło dreszcz. Chyba że to chłód. Nigdy wcześniej nie nazwał jej „skarbem”. Byłaby straszną gąską, gdyby upatrywała w tym coś więcej niż zwykłą, rodzinną serdeczność.

Zeskoczył zgrabnie po stronie parku, równie lekko jak Ben. Miała zrobić to samo, ale chwycił ją wpół i postawił na ziemi. Zbita z pantałyku, potknęła się, a on otoczył ją ramieniem, podtrzymał. Poczowała zapach jego skóry. Korzenny, ekscytujący.

Ekscytujący ?

Wstrząśnięta, cofnęła się krok. Dominik zeszywniał na ułamek sekundy i wypuścił ją z objęć.

Podniosła wzrok i napotkała jego gorące spojrzenie, które szybko przygasło, a na twarzy pojawił się przyjacielski uśmiech.

- Poradziłabym sobie sama - powiedziała, ratując własną godność.

- Wiem - przytaknął z kpiarskim błyskiem w oku - ale nie mogłem odmówić sobie przyjemności.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie mógł odmówić sobie przyjemności. Serce przepełniło nieznane ciepło. Nie śmiała zgłębiać własnych uczuć. Nie, nie wolno jej oddawać się marzeniom. To nie dla niej. Dominik żartuje, przekomarza się z nią, jak zawsze. Lubił z niej pokpiwać, jak przyjaciel, bez złych intencji, brat prawie. Nie interesowała go „w ten sposób”. Z pewnością nie. Dla niego byłby to straszny megalians.

Uniosła brodę, nie zważając na płonące policzki. To tylko wiatr.

- Spieszę się, Dominiku. Obiecałam... ciotce Lousie, że...

Wciąż wytracony z równowagi reakcją na bliskość Philly, przeklął w duchu oczekiwania rodzicielki.

- Matka ma dość służby, żeby wydawać im polecenia. - Ujął na wszelki wypadek rękę Philly i wsunął sobie pod ramię, żeby mu panna nie

uciekła, wszak taki miała zamiar. - Ten dzień musisz poświęcić mnie - oznajmił. - Przejdziemy się po parku.

- Ben powinien wrócić do psiarni - stwierdziła, gdy dotarli do domu.

- Dlaczego?

- Bo twoja matka nie lubi, kiedy psy kręcą się po domu.

- To mój dom, Philly, a ja lubię, kiedy psy kręcą się po pokojach. Poza tym to twój pies i nie ja będę odprowadzał go do psiarni.

Z niejaką satysfakcją zauważył, że zrobiła wielkie oczy.

- Powiedziała ci przecież...

- Ben należy do ciebie. I dość opowieści o wyjeździe. Zabraniam ci poruszać ten temat. Tu twój dom był, jest i zawsze będzie.

Ujął jej dłoń i gwizdnął na Bena.

- Dominiku, jak się cieszę!

Philly spłoniła się, wyrwała rękę. Po frontowych stopniach zbiegała rozradowana siostra Dominika, lady Althea Fanshawe.

Zatrzymała się stropiona w pół drogi.

- No wiesz, Dominiku. Wyglądasz jak pirat. Będziesz mógł straszyć dzieciaki.

- A jakże - odparł sucho. - Porównają swoje wrażenia z wrażeniami babci. - Althea potrafiła być miła i kochana.

Zbiegła na dół, ujęła bez wahania dłoń brata i ucałowała go serdecznie.

- Głupek z ciebie. Dlaczego nic nie pisałeś w listach?

- Co miałem napisać? Że straciłem oko i rączkę trochę mi sfatygowali? O czym skądinąd sumiennie doniosłem.

Althea spiorunowała go wzrokiem.

- Może trzeba było napisać: „Wyglądam jak król piratów i miałem szczęście, że straciłem tylko jeden palec”. To dałoby nam jakieś pojęcie o twoim stanie. - Pokręciła głową. - Postaraj się pamiętać, że trochę cię lubimy i czasami chcielibyśmy wiedzieć, co się z tobą dzieje. Ważne, że wróciłeś prawie cały i zdrowy. I tylko trochę wystraszyłeś chłopców. A ty? - zwróciła się do Philly. - Co to za pomysły, że chcesz zostać guwernantką?

- Nie zostanie żadną guwernantką - zaprotutował Dominik.

- Owszem, zostanę.

- Nie dam pozwolenia.

- Fascynująca dyskusja. - Althea usiłowała powściągnąć uśmiech. - Zanim wybierzesz żywot guwernantki, proponuję, żebyś spędziła trochę czasu z moimi synami. Zapewniam, że szybko zmienisz zdanie!

- Philippo - odezwał się chłodny głos. - Co to zwierzę robi w domu?- Odprowadź je natychmiast do psiarni. Zapominasz się. - Lady Alderley schodziła po schodach z pełną dezaprobaty miną.

- Dominiku? O co ... -Althea nie dokończyła zdania.

Spojrzał na zaszokowaną siostrę.

- Słyszałem. - Nie podobało mu się, że Philly traktowana jest jak uboga krewna, panna respek towa. Dotąd była dla lady Alderley jak córka, ale coś się najwyraźniej zmieniło. Czyżby chodziło o posag? - Wszystko w porządku, mamó. Powie działem Philly, że jej pies jest mile widziany w moim domu - oznajmił lodowatym tonem.

Lady Alderley natychmiast podjęła rękawicę.

- Jej pies? Przecież Philippa wyjeżdża...

- Nie, nie wyjeżdża - wycedził przez zęby. - A skoro już o tym mowa, chciałbym zamienić z mamą kilka słów. Może przejdziemy do biblioteki? - Dojrzał zmieszaną minę Philly. Do diabła, miał rację. Coś tu było nie w porządku. Bardzo nie w porządku. - Gdzie cię znajde?- - zwrócił się do Althei.

- W Długiej Galerii - odparła pogodnie. - Pani Lancelyn-Greene przygotowała dla nas jakąś nie spodziankę. Rafe jest chyba jeszcze w pokoju bilardowym. Chodź, Philly, przywitasz się z chłopcami. Całą drogę dopytywali się o ciebie. Weź z sobą psa, będą zachwyceni. Słyszałam coś o całusnej gałązce. Na szczęście pomyśleliśmy o tym i przywieźliśmy jemiolę, więc...

Dominik zakonotował sobie w pamięci, że i on musi poszukać jemioli, po czym otworzył przed matką drzwi do biblioteki, nie słuchając końca wywodu Althei.

Nie było sensu kluczyć, matka potrafiła to

robić aż nadto dobrze za nich dwoje. Usadowił ją w fotelu przy kominku i przeszedł do sprawy:

- Co się stało z pieniędzmi Philly? - zapytał wprost. - Miała przecież posag. Niezbyt wielki, ale wystarczający, by mogła wyjść dobrze za mąż.

- Irytowała go myśl, że Philly mogłaby wyjść za mąż. Była taka młoda, za młoda... Skończyła dopiero dziewiętnaście lat. I ten jej pomysł, żeby się usamodzielnic, zarabiać na siebie. Wzdrygnął się.

- Posag? - zdumiała się mateczka. - Nie nazwałabym tego posagiem. Ileż to było? Kilkaset funtowi

Dominikowi krew zawrzała.

- W chwili śmierci ojca Philly miała kilka tysięcy funtów zebranych przez kuzyna Philippa. Co się z nimi stało?

Mateczka machnęła ręką.

- Ach, ja się na tym zupełnie nie wyznaję. Wszystkiemu winien ten potwór Napoleon. Biedny Bellingham uznał, że tak będzie najlepiej. Wszyscy myśleli, że Wellington został pobity.

Dominik zamknął oczy. Już wiedział, w czym rzecz. Bellingham sprzedał nie tylko obligacje Martindale'ów, ale także Philly.

- Bardzo mi przykro, możesz być pewien, ale musimy pogodzić się z faktem, że sytuacja Philly zmieniała się i że...

- Mam obowiązek zrekompensować jej straty, które poniosła - dokończył Dominik.

- Że co? - Lady Alderley chwyciła się za gardło. Oczywiście nie przyszło jej to wcześniej

do głowy. Philly też nie. Chętnie potrząsałyby nią, że nic mu nie powiedziała. Szanował dumę, to rozumiał, ale postawa matki... Boże drogi! Sądząc z wyrazu jej twarzy, można by pomyśleć, że syn zamierza przekazać cały majątek, jaki im pozostał, Philly.

- Mieliśmy opiekować się jej pieniędzmi - próbował tłumaczyć. — Bellingham działał w moim imieniu. W tej chwili nie dysponuję całą sumą, ale mogę jej oddać tyle, by starczyło na przyzwoity posag.

Lady Alderley uspokoiła się nieco, ale ciągle miała taką minę, jakby ktoś kazał jej zjeść cytrynę.

- Cóż, skoro to wszystko... Mógłbyś jednak pomyśleć o swoich najbliższych.

- Ty jesteś zabezpieczona - przypomniał matce. „Wszystko”? Co, na Boga, chciała przez to powiedzieć? To wszystko? A czego się spodziewała? - Ja nie pójdę przez to z torbami, a nawet gdyby... - Nie dokończył zdania. Nawet gdyby miało to stanowić poważny uszczerbek w jego finansach, nie mógł zostawić Philly w tak trudnym położeniu. Zrobiło mu się zimno na myśl, że miałyby się zamknąć w jakiejś szkole dla dziewcząt. Po jego trupie. Gdyby nie wrócił w porę do domu, już by jej nie zastał.

Lady Alderley bawiła się troczkami od czepka.

- Najwyraźniej masz mnie za osobę bez serca, Dominiku.

- Nie ująłbym tego tak, ale nawet gdybym nie

był w stanie zwrócić Philly części jej posagu, nie pozwoliłbym na jej wyjazd. Nie możemy zawieść kuzyna Philippa. Zaufał nam, oddając Philly pod naszą opiekę. - Raptem uświadomił sobie, jak bardzo puste bez niej stałoby się Alderley.

- Cóż, nikt nie oczekiwał, że Philly zamieszka tu na zawsze - stwierdziła lady Alderley szorstko. - Sama zdecydowała, że chce szukać pozycji jako guwernantka.

- To nie ma nic do rzeczy, mamó. Philly zostanie u nas i na tym kończymy rozmowę. - Chciała wyjechać, bo zaczęła czuć się ciężarem.

- Skoro tak sobie życzysz - odparła mateczka urażonym tonem. - Czekają na nas w Długiej Galerii. Droga Hermione przygotowała jakąś niespodziankę. - Lady Alderley podniosła się i wyszła, szeleszcząc spódnicami.

Dominik zaklął pod nosem, kiedy zamknęły się za nią drzwi. Niespodzianka przygotowana przez drogą Hermione... Jak się ma zachować w tej sytuacji?

Nie ożeni się z nią, to pewne. Niech diabli wezmą oczekiwania innych. W końcu to Hermione zerwała zaręczyny. Zmieniła zdanie tylko dlatego, że spodobał się jej tytuł wicehrabiny Alderley.

Niedoczekanie. Co innego dać pannie swój tytuł, inna rzecz mieć świadomość, że panna wyświadcza nam z zimnym sercem łaskę i jeszcze być za to wdzięcznym.

Powodzenie odwróciło się chwilowo od Martin-dale'ów, plasowali się teraz wśród ziemiaństwa

gdzieś w stanach ledwie średnich, blisko niższych obszarów, ale kilka lat dobrego, oszczędnego gospodarowania i odrobi straty. Przeżyje.

A jeśli lady Lancelyn-Greene i droga mateczka uprą się wziąć go za słowo, co wówczas? Nie uśmiechał mu się proces o niedotrzymanie zobowiązania. Sprawa w ogóle była delikatnej natury, a akurat w tym wypadku sądy z zasady brały stronę kobiet. Im wolno było zwracać słowo bez żadnych konsekwencji, natomiast mężczyznę oskarżano o złamanie przyrzeczenia, co czyniło z niego człowieka niehonorowego, i wyliczano straty, jakie poniosła niedoszła panna młoda z racji niezostania żoną, które należało zrekompensować. Sprawę dodatkowo komplikował fakt, że Hermiona zerwała zaręczyny niejako nieoficjalnie, bez upubliczniania tego faktu. Przed sądem z Dominikiem byłoby więc krucho.

Uderzał palcami w blat biurka, spoglądając na niczemu niewinne popiersie Sokratesa. Nie, nie wypije cykuty. Sprawy nie mają się aż tak źle. Hermione była dziedziczką fortuny. Gdyby się uparł... a potrafi być uparty... lady Lancelyn-Greene i powiernicy będą musieli przystać na intercyzę spisaną wedle jego warunków. Owszem, posag Hermiony uratuje Alderley od bankructwa, stwierdzi. Lecz to dopiero początek drogi. Młodych małżonków czekać będą długie lata wytężonej pracy i oszczędzania na wszystkim, by doprowadzić majątność do poprzedniego stanu.

Oznacza to rezygnację z przyjemności oferowanych przez Londyn i przebywanie w domu. Praca, praca i jeszcze raz praca...

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, przed którym czmychnąłby sam bazyliszek. Hermione też czmychnie wobec tak ponurych perspektyw.

Pora pójść do Długiej Galerii i zobaczyć, co przygotowała Hermione, nie, panna Lancelyn-Greene. Miał nadzieję, że obędzie się bez jemioły.

Philly przywitała się z synami Althei, zostawiła Bena pod ich opieką i pobiegła do swojego pokoju. Musiała zrobić to, czego nie zrobiła poprzedniego wieczoru: spalić rękopis sztuki. Hermione będzie wściekła, ale to najlepsze wyjście. Oszczędzi Dominikowi bólu.

Zobaczyła z daleka lorda Bellinghama. A niech to. Jeśli ją dostrzegł, zatrzyma najmniej przez kwadrans, roztaczając wokół nieznośny zapach wody różanej, którą zwykł skrapiać się obficie. Będzie ją poklepywał po dłoni z jowialnym uśmiechem i przeproszał za niefortunne rozporządzenie jej posagiem. Umknęła na schody dla służby, by tam przeczekać, aż nudziarz przejdzie.

Dotarła w końcu do swojego pokoju, rozpałała ogień na kominku. Hermione chyba zrozumie, jak niestosowne byłoby wystawianie baśni o Pięknej i Bestii. Ze swoimi majątkiem była idealną panną młodą dla Dominika. O związkach zawieranych z miłości mogły roić biedaczki, które nie miały nic do zaoferowania poza uczuciem. A Dominik

kochał Hermione, jeszcze wiosną świata poza nią nie widział.

Czy Hermione kochała Dominika?

Naturalnie, że tak! Jak mogłaby go nie kochać?

Philly wołała nie myśleć o tym, co mówi jej własne serce.

Musi koniecznie spalić rękopis. To prawda, wprowadziła zmiany w baśni, dodała szczęśliwe zakończenie, ale i tak spali sztukę, by oszczędzić Dominika. Podeszła do toaletki, gdzie stał przyborek do pisania, i zmarszczyła czoło.

Dziwne. Kluczyk zawsze tkwił w zameczku, dzisiaj leżał obok. Pewnie pokojówka go wyjęła. Włożyła kluczyk do zamka i przekręciła. Nic. Spróbowała jeszcze raz, bez skutku. Poruszyła wieczkiem i podniosła je bez wysiłku.

Ogarnęło ją przerażenie.

Zamknęła kasetkę drżącą dłonią. Rękopis zniknął. A przecież chowała go tutaj poprzedniego wieczoru. Co się z nim stało-

Kto mógł go zabrać? Co za głupie pytanie! Doskonale wiedziała, kto to zrobił.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Dominik pojawił się w Długiej Galerii, wszyscy już tam byli z wyjątkiem Philly. Nawet matka się pofatygowała i bawiła rozmową panią Lancelyn-Greene. Do Dominika podeszła Hermione, przystrajając twarz w rozkoszny uśmiech.

- Jesteś - powitała go wylewnie. - Kazałeś nam długo na siebie czekać. Bez ciebie nie może my zacząć.

Wyciągnęła dłoń, uśmiechnęła się jeszcze rozkoszniej, ale Dominik miał wrażenie, że go wcale nie widzi. Wzrok utkwiała gdzieś w dali, jakby mimo jego pokrytej bliznami twarzy wypatrywała, co się dzieje w sąsiednim hrabstwie.

Uściskał z ociąganiem jej dłoń. Nie miał rękawiczki. Dojrzał, jak twarz Hermione sztywnieje, zastyga w grymasie, uśmiech gaśnie. Oddała uścisk jakoś niezgrabnie...

- Wszystko już przygotowane. Ty masz tylko mówić swoją rolę.

- Moją rolę?

- Przygotowujemy przedstawienie, milordzie.

- Hermione zatrzepotała rzęsami. - Każdy ma coś do zagrania. To sztuka na twoje powitanie.

Usłyszał dzwonek alarmowy. Ilekroć w dzie ciństwie miał grać w bożonarodzeniowych przed stawieniach, starał się wykręcać od tej, jak zwał w duchu, „błazenady”, pełen obaw, że będzie musiał produkować się przed gośćmi w charak terze pazia albo jeszcze gorzej.

Jego szwagier, sir Rafe Fanshawe, pozdrowił go z wyraźną ulgą.

- Do pracy, Dominiku. Mamy tylko jeden egzemplarz, w dodatku czekamy na ciebie. Bez głównej postaci nie możemy próbować. - Miał taką minę, jakby chciał zawołać rozpaczliwym głosem: „Ratuj mnie!”.

Dominik spojrzął na niego zdumiony.

- Przepraszam, jak powiedziałaś? Kto ma grać główną rolę?

- Ależ ty, mój drogi. Gramy na zaproszenie lady Alderley.

Dominik zmilczał fakt, że nikt go nie zapraszał.

- Panna Lancelyn-Greene wszystko przygoto wała - ciągnął Rafe, biorąc milczenie Dominika za zgodę. - Napisała nawet sztukę, sama, jak zapew nia. - Skomentował tę rewelację krzywym uśmie szkiem. - Nie możemy sprawić jej zawodu.

W Dominiku wezbrała wściekłość. To oczywi ste, dlaczego nikt go nie uprzedził o spektaklu. Z miejsca by odmówił. Nie będzie stał na scenie i plótł jakichś bzdur o Kopciuszkach i wrózkach oraz zakochanych królewiczach. Tu się na mo-

ment zacukał. Zakochanych? W kim miałyby być zakochany jego królewicz?

- Dominiku, nie ociągaj się - przynagliła go Althea. - Mamy już kostium dla ciebie. - Za prezentowała suto zdobiony kaftan, który jego pradziadek mógłby nosić na dworze wersalskim, gdyby tam bywał. Kwiatki, ptaszki, złote hafty... W dodatku ten piekielny kaftan wyglądał tak, jakby miał na niego pasować.

Nie wiedział, jak się wykręcić.

- A kto będzie heroiną? - zapytał, z góry znając odpowiedź.

Althea dopiero teraz zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Rzuciła pytające spojrzenie Hermione.

- Panna Lancelyn-Greene, ma się rozumieć. Przecież ty i ona... - Zamilkła na widok uniesionych brwi brata.

- Ona i ja? To fascynujące, droga siostrzo.

Althea szeroko otworzyła oczy i... zrozumiała. Usatysfakcjonowany Dominik zwrócił się do Hermione, starając się zachować panowanie nad sobą:

- Co to za sztuka, panno Lancelyn-Greene? Rafe powiada, że twojego autorstwa. - Nie przypuszczał, by Hermione była zdolna napisać coś więcej niż krótki list.

W tejże chwili drzwi się otworzyły gwałtownie i do galerii weszła Philly.

- Hermione, czy wzięłaś może... ? - Zobaczyła Dominika i zawołała: - Dobry Boże!

Dominik zachmurzył się.

- O co chodzi, Philly?

- Takie przedstawienie to w świąteczny czas wspaniała zabawa dla młodych - wtrąciła pośpiesznie mateczka. - Nie ma w tym absolutnie nic niestosownego.

- Czy ja powiedziałem, że jest? - zapytał jej syn spokojnie.

Chociaż w dwóch końcach długiej sali na kominkach buzował ogień, w galerii powiało lodem. Dominik podszedł do stolika obok sofy i wziął do ręki plik kartek. Nie mógł się oprzeć ciekawości, co też wyszło spod pióra Hermione, zanim dzieło strawią płomienie.

Zmarszczył czoło. To nie charakter pisma Hermione, acz bardzo znajomy. Dobrze znajomy... Serce mu na moment stanęło.

- To ty napisałaś, moja droga - zwrócił się do Philly. - „Piękna i...”. Rozumiem, dlaczego zo stałem obsadzony w głównej roli. - Odłożył rękopis. - To trochę zmienia sytuację, prawda?

- Zagrasz, prawda? - dopytywała się lady Alderley.

- Mama mogłaby wątpić? - zapytał aksamitnym głosem. Był wściekły, ale zrozumiał od razu, że los mu zsyła niebywałą okazję.

Hermione spojrzała na Philly z triumfalnym uśmiechem, co go zdziwiło.

- Oczywiście, że zagram - przytaknął.

Philly przygryzła wargę, z bladej jak kreda zrobiła się purpurowa. Dobrze jej tak, pomyślał.

Po co wpackowała go w tak idiotyczną sytuację? Ufał jej, a ona nie powiedziała mu ani słowa, nie uprzedziła go. I sama napisała to sztuczdyło. Da jej nauczkę, tylko najpierw rozprawi się z Hermione.

- Dostrzegam jednak pewną niestosowność w naszym przedsięwzięciu, która mnie martwi - oznajmił gładko.

- Niestosowność? - obruszyła się pani matka.
- Nie ma żadnej niestosowności. Rozmawiałam z Hermione...

- Na litość boską, Dominiku - mruknęła Althea.

- Z Hermione? - zdziwił się z lodowatą uprzejmością. - Odniosłem wrażenie, że to dzieło pióra Philly.

Lady Alderley zrobiła się czerwona jak piwonia.

- Philly tylko spisała rzecz całą, ale pomysł wyszedł od Hermione, więc... - Zawahała się, ale mężnie brnęła dalej: - Jasno i wyraźnie powiedziałam paniąkom, że nie może być w przedstawieniu żadnych... „żarliwych” scen. Philly zapewniła mnie, że będzie tylko jeden pocałunek, w samym zakończeniu... kiedy Piękna zgadza się poślubić... To znaczy... eee... - Zakałapućkała się kompletnie i zamilkła pod gromiącym spojrzeniem Rafe'a.

- Bestię - dopomógł mateczce Dominik z zimną krwią. - Trzeba przyjrzeć się uważniej scena riuszowi. Piękna ma mieszkać w pałacu Bestii? Sama z nim?

- On ma służbę.

Uwaga Rafe'a niespecjalnie pomogła Domini kowi.

- Najwyraźniej niewidzialną. - Posłał szwagrowi wdzięczne spojrzenie. - Nie mogę grać w coś tak dwuznacznym. To przedstawienie gotowe zniszczyć reputację panny Lancelyn-Greene. W końcu nie wiemy, czy Bestią nie zawładną dzikie instynkty i czy nie posunie się do... czegoś bestialskiego, prawda?

Rafe wydał z siebie taki odgłos, jakby się czymś zadławił. Widać nie mógł przełknąć nagłych skrupułów Dominika względem obyczajności.

- Ależ, Dominiku... - rzekła dostojnym tonem lady Alderley.

- Nie, proszę drogiej matki - przerwał jej, pozując się na dwornego rycerza. - Nie może być, żeby stawiać młodą damę, której nic nie łączy z rodziną, w tak dyskomfortowej pozycji. Trzeba zważać na obyczajność.

Rafe krztusił się wręcz histerycznie i Althea, tracąc cierpliwość, huknęła go w plecy.

- Baniałuki, drogi chłopcze - odezwał się lord Bellingham. - Za moich czasów...

- Nie można powiedzieć, że Hermione nic nie łączy z rodziną - zaproponowała pani Lancelyn-Greene. - Ja nie widzę w naszej sztuce nic niewłaściwego i jestem pewna, że nikt nie dostrzeże tu żadnych zdrożności.

Lady Bellingham uznała, że najwyższa pora zabrać głos:

- Ależ oczywiście, w tych okolicznościach...

- Zamilkła natychmiast, uciszona spojrzeniem Dominika.

- W jakich okolicznościach, proszę cioteczki? Cioteczka jakby struchlała.

- Tego... no... Wszyscy wiedzą, że ty i droga Hermione... Niefortunne nieporozumienie... wiosną, ale teraz...

Nie dał jej dokończyć.

- Postawię sprawę jasno. Między mną i panną Lancelyn-Greene nie ma żadnych okoliczności i nie przystoi, by w przedstawieniu mieszkała w moim zamku bez stosownej opieki czy błogoślawieństwa osoby duchownej.

- Zatem nie mamy kogo obsadzić w roli Pięknej, chyba że zagra ją Althea - stwierdziła lady Alderley kwaśno.

- Niezupełnie, mam. Zostaje jeszcze Philly. Jest moją kuzynką, od lat mieszka w naszym domu. - Gdy spojrzała na niego z nieukrywanym przerażeniem, dodał: - Prawie siostra. Nic się nie stanie i nikt się nie zgorszy, jeśli pocałuję ją na scenie.

Althea wydała nieartykułowany dźwięk, który miał oznaczać oburzenie, ale zignorował siostrę. Był bezpieczny.

Co innego napisać sztukę, co innego zagrać w przedstawieniu. Na to Philly była zbyt nieśmiała. Poczwała, że ziemia usuwa się jej spod nóg. Dominik się zgodził? Zażądał, by to ona wystąpiła w roli Pięknej? Niemożliwe...

Zrobił to specjalnie, żeby ją ukarać, bo z pew-

nością nie dlatego, by odgrywać jej ukochanego, na scenie czy poza sceną, bez różnicy. Tak, chciał ją ukarać i samemu uniknąć niezręcznej sytuacji. Nie miał ochoty informować połowy hrabstwa, że pogodził się z narzeczoną. Gdyby ciotka Louisa i Hermione były jej posłuchały...

Oczywiście nie mógł przystać, by Piękną za grała jakaś inna panna, kiedy w ostatniej scenie Bestia, przemieniona w księcia, całuję swoją najdroższą. Dominik uśmiechnął się. Wybrał ją, bo Hermione nie zobaczy w niej rywalki. Będzie mógł spokojnie pocałować Philly.

Pisała sztukę i wyobrażała sobie... Wyobrażała... Nie, nie chce myśleć o swoich rojeniach. Teraz ma stanąć na scenie i pozwolić się pocałować Dominikowi. Nie zrobi tego, za nic. Wie przecież doskonale, że chciałby całować Hermione, nie ją. Nie zagra. Kilka razy odetchnęła głęboko, by uspokoić rozedrgane serce.

- Bardzo dobrze - powiedziała cienkim głosem i już wiedziała, że popełniła straszny błąd.

Dominik osłupiał.

- Panna Wintercombe miałaby zagrać Piękną?
- zaszczębiotała pani Lancelyn-Greene. - To trochę dziwne, nieprawdaż? - Potoczyła wzrokiem po zebranych, szukając u nich potwierdzenia.

- Ani trochę - stwierdził chłodno Rafe. - Ładnie uczesana, w ładnej sukni, Philly będzie wyglądała pięknie, bo jest piękna.

Philly spiekła raka. Nieprawda, nie jest żadną pięknością.

Poczuła na sobie spojrzenie Dominika. Patrzył na nią jak wygłodniały wilk.

- Możemy porozmawiać chwilę na osobności, kuzynko? - zaproponował, podając jej ramię.

Jego słowa zabrzmiały jak smagnięcie batem. Teraz dopiero da jej do wiwatu.

- Co powiesz? - Zimny, lodowaty ton. W drodze z galerii do biblioteki nie zamienili słowa.

- Chciałbym usłyszeć, jakie masz wyjaśnienie.

Żadnego, absolutnie żadnego.

- Ja... Nigdy nie miałeś zobaczyć tego tekstu.

- Zamknęła oczy. Marne wyjaśnienie, bardzo marne.

- Miałbym pewne kłopoty z nauczeniem się roli. - Położył rękopis na stole.

Dlaczego zawsze udawało się jej powiedzieć nie to, co trzeba?

- Napisałam to, zanim wróciłeś do domu. Zanim cię zobaczyłem. W każdym razie napisałam w większej części - dodała uczciwie.

Zaśmiał się bez cienia rozbawienia.

- A jak już mnie zobaczyłaś, nie przyszło ci do głowy, że sztuka jest trochę niestosowna

Philly skinęła drętwo głową. Oczywiście, że przyszło, ale co mogła powiedzieć, nie komplikując jeszcze bardziej sytuacji między Hermionie i Dominikiem? Spodziewała się, że będzie na nią wściekły.

- Dominiku - spróbowała jeszcze raz - wie działałam, że nie zagrasz w żadnej sztuce... Zanim cię zobaczyłam.

- *Merci du comyliment.*

Poczuła się jeszcze gorzej, ale mówiła dalej:

- Zamierzałam spalić rękopis. Mówiłam Hermione, że to niefortunny pomysł, lecz ona uznała, że jestem... przewrażliwiona.

- Zabrała zatem sztukę, a tobie nie przyszło do głowy, by powiedzieć mi, co się dzieje.

- Nie. - Była pewna, że zdąży zniszczyć tekst zaraz po powrocie z proboszczówki. Skąd mogła przypuszczać, że Hermione zabierze manu skrypt. Nie było sensu opowiadać o tym wszystkim, w końcu wina w dużej części była po jej stronie.

- Czemu dałaś jej tekst, powiedz- Po co w ogóle zabrałaś się do pisania?

Philly zawrzała.

- Ponieważ twoja matka mi kazała! - Przy gryzła wargę. Nie chciała, żeby zobaczył, jak zmieniała się jej pozycja w Alderley.

- Pomimo wszystko mogłaś mnie uprzedzić.

Co miała powiedzieć? Ze ściśniętym gardłem podeszła do Dominika i wyciągnęła rękę.

- Daj mi to, proszę.

Oddał machinalnie rękopis i zły na siebie zapytał zgryźliwie:

- Wracasz na próbę, droga kuzynko?

To, co usłyszał w odpowiedzi, nie nadawało się do powtórzenia. Patrzył w osłupieniu, jak Philly podchodzi do ognia. Co się dzieje, do diabła?

- Nie! - Rzucił się, by wyrwać jej rękopis z ręki, zanim zdążyła wrzucić go w ogień.

Dlaczego to zrobił?

Przypomniał sobie milkliwą, zamkniętą w sobie dziewczynkę, której wiersze zawsze służyły do rozpalania ognia na kominku, a ona uciekała do swojego pokoju wypłakiwać oczy z rozpaczyny nad obróconymi w popiół wisiłkami. Już wtedy rozumiał, jak ważne musi być dla Philly pisanie. Czy dlatego zawahała się i nie spaliła swojej sztuki poprzedniego wieczoru?

- Oddaj mi to, Dominiku. - Jej głos brzmiał spokojnie, jakby miała wrzucić w płomień stare gazety.

- Nie spalisz rękopisu. - Nie mógł do tego dopuścić. Owszem, powinna była go uprzedzić... ale jak? Był na nią zły za jej reakcję, kiedy zobaczyła go w bibliotece. Rozsierdzony nie dźwiedź. Nic dziwnego, że bała się choćby napomknąć o pomysł przedstawienia.

- Przepraszam, Philly. Zachowałem się wczoraj jak skończony dureń.

- Tak czy inaczej, powinnam spalić rękopis - powiedziała smętnie.

- Za późno. Już zgodziłem się zagrać, wszyscy słyszeli. I wszyscy czekają na to przedstawienie. Rozumiem, że to największa świąteczna atrakcja.

- Choć nie dla mnie, dodał w duchu.

- Na pewno chciałbyś, żeby Hermione zagrała Piękną...

- Nie! - Zaprzeczył tak gwałtownie, że drgnęła. - To zły pomysł - dodał już spokojniej.

Philly nic nie rozumiała.

- W takim razie trzeba zmienić zakończenie - powiedziała tylko.

- Dlaczego? - Nie miał okazji zajrzeć, jak przedstawienie się kończy.

- Bo... Nie będziesz przecież chciał się ze mną całować na scenie - oznajmiła wisielczym tonem i zrobiła się czerwona jak piwonia.

Dominik uniósł brwi. Skąd u Philly to powątpiewanie? Spojrzał na jej różowe, delikatne wargi... Widział niemal, jak rozchylają się do pocałunku, czuł prawie, jak drżą pod jego ustami...

Dobry Boże, jak to możliwe, że dotąd nie robiły na nim żadnego wrażenia? Odetchnął głęboko i dopiero teraz zrozumiał. Na swój taktowny sposób Philly dawała mu do zrozumienia, że nie ma ochoty się z nim całować. Zaskoczyło go własne rozczarowanie.

- Zapewniam cię, że to będzie tylko sceniczny pocałunek - powiedział chłodno. Miał nadzieję, że tak będzie w istocie.

- Nie pomyślałam ani przez chwilę, że mogłoby to być coś więcej - zapewniła nie mniej chłodno, z wyrazem twarzy, z którego trudno było cokolwiek wyczytać. - Wybacz, ale muszę już iść.

Znał ją dobrze. Tak reagowała, kiedy z kolejną pocztą nie otrzymywała listów od ojca. Zranił ją. Sprawił przykrość Philly, którą traktował zawsze jak siostrę i powinien ją chronić, zamiast roić o pocałunkach, by zaraz potem obrażać się na nią, jakby to była jej wina, że chutliwe myśli chodzą

mu po głowie. Oczywiście nie mógł jej tego powiedzieć.

- Zaczekaj chwilę. - Zdobył się na uśmiech.
- Głupiec ze mnie. Uściskaj mnie na znak, że wybaczasz.

Podeszła do niego z wahaniem i zrobiło mu się nijako. Przecież to Philly, jego najdroższa przyjaciółka. Nie zasłużyła sobie na jego gniew.

Objął ją, chciał tylko przeprosić, pocieszyć, tymczasem poczuł, jak ogarnia go fala gorąca. Nie przypuszczał, że ich ciała tak mogą się dopełniać, jakby były dla siebie stworzone. Niech to piekło pochłonie! Przecież nie raz i nie dwa trzymał kobietę w ramionach. Ale żadna z nich nie była Philly.

Nie wypuszczał jej z objęć. Niezgrabnie głaskał ją po plecach, chłonąc delikatny zapach lawendy i wody różanej. Zapach kobiety. Philly.

Popełnił straszny błąd.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jego doznania nie miały nic wspólnego z braterskimi uczuciami. Wstrząśnięty własną reakcją na Philly, wyszeptał jej imię.

Podniosła wzrok, spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami i rozchyliła lekko wargi. Prawdziwe ucieleśnienie pokusy.

- Dominiku!

Pełen zgorszenia okrzyk sprawił, że czar przysł w ułamku sekundy. Philly odskoczyła, jakby ktoś chlusnął na nią wiadro lodowatej wody. Dominik odwrócił się i posłał matce wściekłe spojrzenie, na które odpowiedziała całkiem podobnym.

- Filippo, wracaj do galerii - zakomenderowała. - Mam do pomówienia z Alderleyem.

Spochmurniał na ten oficjalny ton. Coś mu mówiło, że za nic nie powinien pozwolić Philly teraz wyjść, ale ona zamykała już za sobą drzwi.

Lady Alderley przeszła prosto do sedna:

- Dominiku, to bardzo nierozważna decyzja, by Philippa grała Piękną. Jeśli mam osądzać ze sceny, którą tu zastałam, ta dziewczyna zamierza...

- Co zamierza mianowicie?

Lady Alderley nie dokończyła myśli.

- Życzę jej wszystkiego najlepszego, ale nie wolno dopuścić, by robiła sobie próżne nadzieje.

- Jakież to nadzieje?

- Doskonale wiesz, jakie! - fuknęła lady Alderley.

Wiedział. Kiedy oznajmił, że zamierza wyplacić Philly utracony posag, matka odetchnęła, bo bała się, że zaraz usłyszy o planach matrymonialnych syna względem kuzynki. Małżeństwo? Miałby się ożenić z Philly? Zatrzymał się na chwilę nad tą myślą.

- Mamo, nie obawiałaś się jakoś, że podobne nadzieje mogłyby się obudzić w sercu panny Lancelyn-Greene - zauważył chłodno.

- Droga Hermione - westchnęła lady Alderley z uczuciem. - Jej nigdy nie postałoby w głowie wykorzystywać okazję. Chcę tylko ci powiedzieć, byś nie robił nic, co sprawiłoby zawód Phillipie. Nie doprowadzaj do nieprzyjemnej sytuacji.

Zacisnął tylko dłonie, natomiast lady Alderley dodała:

- Gdyby ktokolwiek inny, nie ja, zastał was w objęciach, nie miałbyś, będąc człowiekiem honoru, innego wyjścia, jak oświadczyć się o jej rękę. A tego przecież nie chcemy.

Co rzekłszy, opuściła bibliotekę, pozostawiając Dominika sam na sam z jego myślami. Biegły one wszak innym zgoła torem, niżby życzyła sobie

matka dobrodziejka. Najdalszy od myśli, że zawiedzie budzone nadzieje, uświadamiał sobie właśnie, że spełniłyby je z najwyższą rozkoszą. I że Philly jest idealną kandydatką na jego wicehrabinę. Pora iść do Długiej Galerii na próbę, pomyślał, wracając do rzeczywistości. Domowe teatralia to godny pochwały pomysł: można pannę pocałować, kiedy człowiek chce uderzać w konkury.

A jeśli idzie o Hermione... Tu naszła go chytra myśl. Krótka wizyta w pokoju siostrzeńców powinna się opłacić.

Philly czuła kompletny zamęt w głowie. To niemożliwe, żeby chciał ją pocałować, powtarzała sobie, biegnąc po schodach. A nawet jeśli, to wyłącznie dla pokazania jej, jak powinien wyglądać pocałunek na scenie. To, co zobaczyła przed chwilą w jego oczach, musiało być przywidzeniem.

Tak naprawdę to nie zamiary Dominika ją martwiły, tylko jej reakcje. Chciała go pocałować! Miała wrażenie, że ich ciała stają się jednym. Rozpusta i bezwstyd! Gdyby ciotka Louisa nie weszła do biblioteki... Philly zakryła dłońmi pałające policzki. Ciotka będzie wściekła. Trzeba koniecznie usunąć ten pocałunek z epilogu. A jeśli okaże się to niemożliwe, omijać ten moment podczas prób.

Uśmiechnęła się do pokojówki, która dygnęła grzecznie, i wzdygnęła się na myśl, jak też za-

reaguje na pocałunek, skoro samo znalezienie się w ramionach Dominika wywołało burzę emocji.

Może się uodpornisz po pierwszym pocałunku, pomyślała. Jak ktoś raz przejdzie odrę... Ba, próżna nadzieja. Dominik pocałuje ją na scenie i wszyscy zobaczą, co się z nią dzieje. Okropność! A już on z pewnością zauważy jej gwałtowną reakcję. I będzie miał do wyboru dwie ewentualności: albo uzna, że jest chutliwa, Boże chroń, albo jeszcze gorzej, bo domyśli się prawdy...

•Przenigdy! Musi pomyśleć o czymś, co zastąpiłoby pocałunek kochanków. Może... może walc? Oczywiście, walc! Tak rozmyślając, doszła do Długiej Galerii i zawahała się przy drzwiach. Nieraz tańczyła z Dominikiem i nie wywołało to w niej specjalnych emocji. Żadnych pocałunków, zatańczą w finale przedstawienia i już. Zakończenie potrwa trochę dłużej, otrzyma tło muzyczne. Althea pięknie gra na harfie, może zagrać im walca. Będzie pięknie.

A jeśli Dominik zmienił zdanie i rolę Pięknej weźmie jednak Hermione ? Wówczas trzeba będzie przywrócić finałowy pocałunek.

Kiedy weszła, wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę.

- Oprzytomniał w końcu? - natarła na nią Hermione.

- Ustaliliśmy, że to ja jednak zagram Piękną.

- Och. - Na twarzy Hermione pojawił się grymas wściekłości.

Pani Lancelyn-Greene popatrzyła na Philly,

jakby ta zamieniła się nagle w wyjątkowej brzydoty ropuchę.

- Muszę powiedzieć, że...

- Zaczynamy już - weszła jej w słowo zawsze pogodna Althea i zebrani nie dowiedzieli się, co musi powiedzieć zatroskana matka niedoszłej Pięknej. - Najlepiej, jeśli damy przedstawić tuż przed zabawą dla dzierżawców i naszymi tańcami w Wielkiej Sali. Jutro trzeba ją udekorować, a w pierwszy dzień świąt nie będziemy mogli przeprowadzić próby, natomiast w Nowy Rok jesteśmy zaproszeni na kolację do Bransteade House, tak że pozostaje nam zaledwie tydzień na przygotowania. Gdzie manuskrypt ^

- Dominik go ma - powiedziała Philly. - Myślę, że zaraz się pojawi. - Jak już lady Alderley przypomni mu o jego powinnościach.

- W takim razie zajmę się kostiumami - zdecydowała Althea. - A wieczorem będziemy przepisywać swoje role.

Dominik przyszedł do galerii w towarzystwie Bena, by stwierdzić, że wszyscy zajęci są mierzeniem kostiumów. Althea niemal rzuciła się na niego, wyrwała mu rękopis, kazała zdjąć surdut i włożyć haftowany kaftan pradziadka, które to odzienie już wcześniej wprawiło go w popłoch.

- Jeszcze to. - Wcisnęła mu do wolnej już ręki nadgryzioną przez mole perukę. - Włóż ją. - Od-

sunęła się kilka kroków, żeby ocenić efekt. - Doskonale, wyglądasz tak, jak powinien wyglądać twój bohater. Prawdziwy potwór, bogaty i niechlujny.

- Dziękuję - mruknął Dominik pokornie. - Co dalej?

- Dalej siadaj i słuchaj. Przeczytam na głos całą sztukę, wieczorem każdy przygotowuje sobie własny egzemplarz i...

- Nie możemy przecież równocześnie przepisywać z oryginału - zaprotestowała Hermione. - Poszedł stąd! - Odepchnęła gwałtownie Bena, który próbował się z nią zaprzyjaźnić. - Zawołaj go, Philly. Pobrudzi mi suknię.

Althea posłała jej zde gustowane spojrzenie.

- To tylko pies, moja droga. Teraz, kiedy Dominik wrócił, będziesz musiała przyzwyczaić się do jego obecności na pokojach.

Hermione zrobiła taką minę, jakby usłyszała, że ma mieszkać z krokodylem.

Dominik uśmiechnął się.

- Podarowałem go Philly i Ben rzeczywiście ma wstęp do domu.

Philly pstryknęła palcami i Ben posłusznie ułożył się u jej stóp.

- Jeśli chodzi o kopiowanie - Althea podjęła przerwany wątek - będziemy wymieniać się strojami, to żaden problem. Potem zaczniemy uczyć się naszych ról. Wiemy już, kto jest kim. Wuj Bellingham gra kupca, ciocia jego gospodynię, ja i ty, Hermione, gramy straszne córeczki, Rafe ich

brata, a wszyscy razem odgrywamy niewidzialną służbę w pałacu Bestii. Wszystko jasnej

W obliczu tak bezwzględnie doskonałej organizacji nikt nie śmiał zgłaszać sprzeciwów.

Drugi akt odczytali Philly i Dominik.

- Tylko wy macie tutaj sceny mówione, moście więc czytać sami - oświadczyła Althea niewinnie.

Philly zmartwiała na moment. Nie była przygotowana do tego, że kuzynka każe jej czytać, i to razem z Dominikiem ubranym w ozdobny kaftan i perukę, co i rusz spoglądającym jej przez ramię do tekstu. Dukała słowa, serdecznie żałując, że zgodziła się grać Piękną, on natomiast bawił się znakomicie i nie ukrywał tego.

Kiedy skończyli czytać, rzucił Philly rozweselone spojrzenie, na co natychmiast wbiła wzrok w podłogę. Naprawdę napisała tę sztukę? Mały klejnocik z dialogami, które brzmiały tak... naturalnie. Niech to! Nie wiedział, co powiedzieć.

- To takie ładne - wyręczyła go Althea.
- Świetna robota, Philly. Nit sądzicie? - zwróciła się do reszty towarzystwa.

- Dość zgrabne - stwierdziła pani Lance-lyn-Greene z pełnym wyższości uśmiechem.

- Panna Wintercombe dołożyła z pewnością wszelkich starań.

Z gardła Dominika wydobył się groźny, godny Bestii pomruk.

- Nieźle - pochwalił lord Bellingham. - A ta

scena, kiedy ojciec się z nią żegna, nawet chwyta za serce.

Dominik nie zdołał powstrzymać kolejnego pomruku. Durnemu wujowi wydaje się, że może poklepywać Philly protekcyjnie po ramieniu... Obudziła się w nim zielonooka bestia.

- Coś z gardłem, mój drogie - zainteresował się Rafe.

Spiorunował szwagra wzrokiem, ale nic nie powiedział.

- Bestia na początku zachowuje się niegrzecznie wobec Pięknej, a przecież jest w niej niby zakochany - wyraziła swoją opinię Hermione.

- Zakocha się w niej dopiero później - wyjaśniła spokojnie Philly.

- To głupie - stwierdziła panna. - Przecież Piękna jest naprawdę bardzo piękna i Bestia zakochuje się w niej od pierwszego wejrzenia. Jesteś taka nieromantyczna, Philly. Możemy to jeszcze zmienić. Kilka drobnych poprawek...

- Gdzie należałoby nanieść te poprawki? - zapytał Dominik aksamitnym głosem.

- Jakoś tak w połowie - odparła Hermione. - Tam jest całkiem bez sensu. Ze niby Pięknej jego łapa wydaje się dłonią, chociaż to łapa i już, więc jak może wydawać się ludzką dłonią? I na końcu Bestia nie wraca do ludzkiej postaci, ale Pięknej i tak się podoba. - Posłała Philly złe spojrzenie i oznajmiła bez ogródek: - To głupie. Zupełnie inaczej sobie wyobrażałam moją sztukę.

- Powinnaś zatem sama ją napisać - usłużnie

zasugerował Dominik. Wyobrażał sobie, jak musi czuć się Philly, słuchając uwag idiotki.

- Moglibyśmy... - zaczęła niepewnie.

- Nic nie moglibyśmy - bezceremonialnie przerwał jej Rafe, zanim Dominik zdążył napełnić płuca powietrzem. - Sztuka jest bardzo dobra. A tobie, panno Lancelyn-Greene, muszę coś wyjaśnić, co ci umknęło. Otóż przemiana dokonuje się w sercu Bestii i właśnie serce się liczy, a nie wygląd. Dopiero kiedy Bestia zaczyna zachowywać się jak człowiek, Piękna go pokocha. Być może trzeba by to bardziej podkreślić, ale sam pomysł jest doskonały.

Dominikowi zakręciło się w głowie. To właśnie nie chciała przekazać Philly? Na Boga, przecież miała zaledwie dziewiętnaście lat. Skąd u niej takie dojrzałe widzenie świata?

- Świetnie to napisałaś - powtórzył Rafe, zwracając się bezpośrednio do Philly.

To przywróciło jej nieco wiary w siebie. Może rzeczywiście jej tekst nie był taki straszny. Może dobrze, że Dominik nie pozwolił go spalić.

- Chciałabym wprowadzić jedną zmianę.
- Wbiła wzrok w bogato haftowany kaftan Dominika. - W didaskaliach, gdzie... gdzie napięłam: „On ją całuje”.

Hermione pociągnęła nosem.

Lord Bellingham rozkaszał się.

- Coś utkwiło mi w gardle, jakiś okruszek
- usprawiedliwił się pod morderczym spojrzeniem żony.

Rafe kiwnął głową zachęcająco.

- Mów dalej, Philly.

- Bestia nie musi całować Pięknej - wyrzuciła z siebie pospiesznie. - W każdym razie...

- Owszem, musi - doszło ją ledwie słyszalne mruknięcie. - Jak najbardziej!

Czerwona jak piwonia Philly dodała:

- Mogliby zatańczyć walca.

- Wyborny pomysł - przemówił kaftan.

Philly rozpromieniła się.

- Pocałują się i zatańczą walca - wyjaśnił kaftan. - Co o tym myślisz, Rafe?

- Absolutnie się z tobą zgadzam - poparł szwagier szwagra.

Co za perfidia, pomyślała Philly.

- Doskonale, zatem wszystko ustalone - za kończyła próbę Althea. - Dziękuję wam.

Następnego dnia rano Dominik zamknął się w bibliotece i pilnie wkuwał rolę. Ciagle nie mógł uwierzyć, że sztuka wyszła spod pióra małej, cichutkiej Philly. Skąd taka młoda, nieznaną świata dziewczyna mogła wiedzieć, co czuje Bestia? - Skąd znała smak goryczy, kiedy po raz kolejny jakiś przedmiot wypadał mu z ręki? Rozumiała zażenowanie, kiedy czuł na sobie ciekawskie spojrzenia? Chęć wykrzyczenia, że nadal jest człowiekiem?

Wczoraj też cię zrozumiała...

Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w tekst. Philly... Kto by pomyślał. Alex miał rację.

Nie była już dzieckiem, stała się kobietą. Dzięki Bogu. Spojrzał na listy do Hendersona. Zawierały bardzo ważne instrukcje. Niech jak najszybciej dotrą do Londynu.

Skądś dobiegły go wesołe śmiechy. Ki diabeł? Prawda, Althea wspominała, że mają robić dekoracje świąteczne. Bardzo lubił pomagać w strojeniu Wielkiej Sali, kiedy był dzieckiem. Podniósł się, nie wiedząc nawet kiedy, i ruszył ku drzwiom.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

To, co zobaczył, przypominało zakład dla obłąkanych. Służba domowa, ogrodnicy, stajenni, po prostu wszyscy zebrali się w Wielkiej Sali i zawieszali na ścianach i suficie świerkowe wieńce i gałęzie, śmiejąc się przy tym i przezrzucając żartami.

Pośrodku tego zamieszania stała drabina podtrzymywana przez Briggsa, a na niej Philly, z błyszczącymi oczami, roześmiana. Wieszała właśnie jemiolę pod ogromnym żyrandolem, w którym zamiast białych osadzono świąteczne, czerwone świece.

- Banialuki, Briggs - zawołała wesoło w odpowiedzi na coś, co powiedział lokaj.

- Jakże, panienko, przecież taki zwyczaj. Pan na, co wiesz gałązkę jemioly, musi być zaraz potem pocałowana dla upewnienia się, że to całuśna gałąź.

Philly spiekła raka.

- Briggs, ty stary zbereźniku, wymyśliłeś to sobie.

- Jestem pewien, że wymyślił - włączył się Dominik, podchodząc do drabiny. - Masz zamiar zejść? - zapytał niby to obojętnym głosem i mruknął do Briggsa: - Rozumiem, że to mój przywilej. - Powiedział to niczym pan feudalny zamierzający skorzystać właśnie z prawa pierwszej nocy.

Briggs wyszczerzył zęby.

- Zawsze chylę głowę przed znawcą zagadnienia.

Dominik parsknął śmiechem i podał rękę zniżającej się niebacznie do poziomu dwóch facejnistów Philly. Zamknął palce wokół jej dłoni, by wszyscy widzieli, by wszyscy wiedzieli...

I tak Philly, zanim zdążyła zrozumieć, co się święci, znalazła się ponownie w ramionach Dominika, z tą wszak różnicą, że teraz mieli całą salę zachwyconych zdarzeniem świadków.

Dominik powoli schylił głowę...

To był prawdziwy, absolutnie najprawdziwszy pocałunek.

Nie wiedziała, że tak to może wyglądać. Nie zdawała sobie sprawy, że ramiona mężczyzny mogą chronić, jednocześnie więząc. I że może czuć się uwodziona, a przy tym bezpieczna.

Nic nie wiedziała...

- Wielkie nieba, Dominiku - rozległ się rozbawiony głos. - Sprawdzasz, czy jemioła działa?

Dominik oderwał się od Philly przy wtórce okrzyków i oklasków, nie bardzo wiedząc, czy powinien zamordować siostrę, czy też jej dzięki-

wać. Raczej to drugie, jeśli brać pod uwagę mocno przyćmiony stan jego umysłu oraz radość publiki. Althea, w towarzystwie męża i synów, z naręczem gałęzi w ramionach, stała w drzwiach Wielkiej Sali i przyglądała się bratu z wesołymi błyskami w oku.

Rafe natomiast spoglądał na szwagra z miną, która mogła oznaczać tyleż zainteresowanie, co dezaprobatę.

Dominik, zaszokowany własną reakcją, acz był to najbardziej niewinny pocałunek, jaki zda rzyło mu się liczyć między swoje doświadczenia w tym względzie, odetchnął głęboko. Pragnął Philly. To jasne. Nie kobiety, lecz właśnie Philly. Jej jednej.

A ona stanęła w pąsach.

- Jemioła... chyba się sprawdza - powiedziała.

Sprawdza siei Dominik zerknął na przeklętą gałązkę. Zabójcze ziele!

Wieczorem, kiedy rozpalali świąteczny ogień na kominku, używając do tego polana zachowanego z minionych świąt, Philly trzymała się najdalej jak mogła i od Dominika, i od jemioły.

Następnego ranka w kościele, a był to Pierwszy Dzień Świąt, Dominik nadal wspominał wczorajszy pocałunek: taki słodki, pełen... Wolał nie myśleć, czego pełen, próbował skupić się na kazaniu Aleksa... O miłości...

- Nie jesteśmy w stanie pojąć istoty miłości

bożej w sposób bezpośredni. Nie tutaj. Nie teraz. Doświadczamy jej wyłącznie poprzez innych. Miłość boża nie jest z tego świata i dlatego Bóg objawił się nam pod ludzką postacią, byśmy poznali, czym jest miłość. I tak w człowieczej miłości odnajdujemy miłość Boga...

Dominikiem wstrząsnęła ta myśl. Znał przecież Philly od lat... Ale żeby miłości Jak mógł tego nie widzieć?

Spojrzał w jej stronę. Siedziała między chłopcami Althei, ze spuszczoną głową, z dłońmi złożonymi na podołku. Mały Tom poruszył się niespokojnie i Philly objęła go, a on przytulił się do niej.

W Dominiku coś się otworzyło.

Była dzieckiem. Zawsze ją kochałeś. Nie wie działaś o tym, ale Bóg wiedział, co ma dla ciebie w zanadrzu...

Bolesne pragnienie posiadania i bycia posiadany. Potrzeba ofiarowania tego, czego nikomu dotąd nie ofiarował - siebie samego. Bezwarunkowo, bez zahamowań.

To właśnie jest miłość?

W czasie kolacji Philly siedziała u końca stołu. Dominik obserwował, jak z zaróżowionymi policzkami i błyszczącymi oczami śmieje się z żartów Rafiego, i gdzieś w sercu pojawiła się nieoczekiwana pewność. Wiedział już, że ożeni się z Philly. Kiedy miną święta, kiedy goście wyjadą, poprosi ją o rękę. Będzie błagał, jeśli trzeba. Już nie

martwił się, że czeka go harówka ratowania podupadłego majątku. Z Philly będzie to harówka pełna radości.

Bestia nachylił się do pocałunku, ale Piękna cofnęła głowę, i tak działo się na każdej próbie, wbrew didaskaliom, wbrew temu, co ustalali.

- Nie musimy przecież próbować pocałunku - oznajmiła. - Wystarczy... jak przeczytamy - bąknęła.

Dominik uniósł brwi.

- Ja nie czytam pocałunków - wyjaśnił. - Ja je biorę. Pocałunki i nie tylko - dodał, zniżając głos. Na cztery dni przed Nowym Rokiem biedny tracił cierpliwość, przestawał panować nad sobą.

Philly rozwarła szeroko oczy na te słowa, zdumiona zaborczością Bestii. Kpi sobie ze mnie, droczy się, pomyślała.

- Jak sobie życzysz - skapitulował. - Zatem walc. - Porwał ją w ramiona.

Pomysł z walcem był czymś najgorszym, co mogła wymyślić. Scena wydłużała się z każdą kolejną próbą, a ona kompletnie traciła głowę. Będzie musiała koniecznie porozmawiać z Altheą...

Usiłowała zachować przyzwoitą odległość między nimi, ale Dominik miał zgoła inną koncepcję, przygarniał ją do siebie bardzo blisko, skandalicznie blisko, patrzył jej w oczy i uśmiechał się. Jakby niczego innego nie pragnął, tylko trzymać ją w ramionach. I, ma się rozumieć, całować do tego jeszcze!

Tak łatwo, tak rozkosznie byłoby uwierzyć, że ten jego uśmiech jest przeznaczony dla niej właśnie, tylko dla niej. Cóż za niebezpieczna myśl. Philly pomyliła krok. Z każdą próbą było coraz gorzej. Wypowiadała swoje kwestie drewnianym, bezbarwnym głosem, zapominała tekstu, a Dominik czekał cierpliwie, podpowiadał... Miała wrażenie, że zna jej rolę lepiej niż ona sama. Nieprawda, znała ją doskonale, nosiła w sercu, i na tym polegał kłopot.

- Popatrz na mnie, kochanie.

Znowu pomyliła krok i spłoszona uwolniła się z ramion Dominika.

- Doprawdy, Philly, mogłabyś się trochę postarać - doszły ją kaśliwe słowa Hermione.

- To moja wina, nadepnałem Philly na palce - powiedział Dominik.

Spąsowiała na to bezczelne kłamstwo. A więc on wiedział... widział, jak na nią działa jego bliskość.

- Przepraszam, jestem taka niezdarna.

- Bzdura - uspokoiła ją Althea, rzucając bratu podejrzliwe spojrzenie. - Myślę, że dość już na dzisiaj. Philly, skarbie, wszystko będzie dobrze, odpręż się tylko trochę.

Odprężyć się? Jak ma się odprężyć?

Bellingham ziewnął.

- Jak koniec, to koniec. Fanshawe, zagramy partyjkę bilarda? Muszę zająć na chwilę do swojego pokoju i zaraz przyjdę do bilardowego.

- Dominiku, ty też zagrasz? - zapytał Rafe.

- Mam trochę pracy, później do was dołączę.

Zszedł do biblioteki, by zgłębiać fascynujący problem nawożenia pól, ale przed oczami cały czas miał spłonioną twarz Philly. Pomylił się. Wiedział przecież, jak bardzo jest nieśmiała. Nie pocałuje się z nim na scenie. On też wołałby pocałunek na osobności, sam na sam. Na przykład w sypialni.

Ktoś otworzył drzwi, wrywając go z marzeń. Obrócił się w fotelu i natychmiast wyprostował, oczekując ataku.

Nadchodziła Hermione.

- Biedny Dominik - zaczęła ze słodkim uśmiechem. - Musisz się strasznie męczyć, mój panie. Mała Philly zapewne nigdy jeszcze nie miała okazji tańczyć walca, taka jest nieporadna.

- Doprawdy - Wstał, podszedł do kominka.

- Przestań udawać, milordzie, wszak oboje znamy prawdę.

Słodka Hermione zaraz pozna prawdę. Dominik pociągnął za dzwonek.

- Co robisz?

- Wzywam przyzwoitkę. To na nic, panno Lancelyn-Greene. Ze mnie stary wyga i łajdak. Nie psuj sobie reputacji. - Nie rozwijał tematu, powiedział dość, by Hermione zrozumiała.

Spąsowiała, zmrużyła oczy i zaśmiała się.

- Bardzo to rycerskie zachowanie. Zostawiam cię zatem samego, panie.

Kiedy zamknęła drzwi za sobą, Dominik

odetchnął z ulgą. Musi wystrzegać się panny. Nie będzie czekał, aż goście się rozjadą, wcześniej poprosi Philly o rękę. Publiczne oświadczyzny powinny położyć kres machinacjom Hermione.

A kiedy już się oświadczy, będzie mógł pocałować Philly. Naprawdę pocałować. Zaraz pójdzie jej poszukać.

- Schowaj pazurki, kociczko. Tylko jeden pocałunek pod jemiółką, moja śliczna.

Philly owionął odór brandy, co wyjaśniało obleśne zachowanie wuja Bellinghama, ale nie czyniło ani trochę akceptowalnym. Z całej siły kopnęła go w goleń. Bellingham krzyknął z bólu i uwolnił rękę Philly.

- Radzę, byś znalazł sobie inne zajęcie w całym innej części domu, Bellingham - rozległy się wypowiedziane stalowym głosem słowa.

Philly obróciła się gwałtownie. Dominik z zaciśniętymi dłońmi szedł w ich stronę z miną niezwiastującą niczego dobrego.

- Daj pokój, Dominiku - mruknął Bellingham.
- To tylko żarty, nie rozumiesz?

- Nie, nie rozumiem. Philly nie zna się na takich żartach. Trzymaj się od niej z daleka, drogi wuju. To samo dotyczy pokojówek. Niech usłyszą słowo skargi od którejś i będziesz pakował manatki.

- To się zobaczy - prychnął Bellingham, ale przezornie dał tyły. Zniknął tak szybko, jak pozwalały na to jego krótkie nóżki.

- Nic ci nie zrobił? - upewnił się Dominik.
- Nie, tylko... nie było to zbyt przyjemne. Strasznie cuchnął, niczym stary cap.
- Przykro mi, naprawdę. Przysięgam, że to się więcej nie powtórzy, bo inaczej żywcem obedrę łajdaka ze skóry. Philly, możemy porozmawiać w cztery oczy?

Skinęła powoli głową.

Rozejrzał się. Powinni usiąść gdzieś, gdzie będą sami, ale ich tete-a-tete nie nasunie żadnych podejrzeń. Znał takie miejsce.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Dokąd idziemy, Dominiku ?

Bez słowa otworzył drzwi i wprowadził Philly do galerii muzycznej nad Wielką Salą.

Jako dziecko chowała się tu często, sama przez nikogo niewidziana przyglądała się gościom tańczącym na dole. Jak bardzo w takich razach pragnęła dołączyć do rozbawionego towarzystwa, być z innymi...

- Będziesz musiała w końcu mnie pocałować, Philly - zaczął z uśmiechem. - W przeciwnym razie...

- Nie!

- Taki jestem odrażający ? Jak Bellingham?

- Nie, nie! Och nie! - zaprzeczyła żarliwie.

- Chodzi tylko o to, że...

- Że co?

Ze cię kocham? Philly zamknęła drzwi. Wiedziała już co odpowiedzieć.

- Nie chcę całować się z tobą, skoro wiem, że wolałbyś całować Hermione, nie mnie.

Dominikowi szczeka opadła.

- Ja i Hermione? - powtórzył oszołomiony i wybuchnął: - Do diaska, Philly, prędzej wolał bym pocałować żmiję! Ciebie chcę całować. Jak myślisz, dlaczego nie pozwoliłem ci nic zmieniać w finale przedstawienia?

- Chcesz mnie pocałować?- - zapytała niepewnie. - Mnie?

- Ciebie. Zaraz ci to udowodnię.

Uciekać, przemknęło jej przez głowę. Została.

Z kolei w głowie Dominika kołatała się mglista myśl, że miał coś powiedzieć Philly, zanim ją pocałuje. O coś prosić. Nie pamiętał, wiedział tylko, że pragnie ją pocałować.

Nachylił głowę, zbliżył wargi do jej warg... Ku jego zdumieniu i zachwytowi Philly odpowiedziała na pocałunek, przywarła do niego.

Jest jego, tylko jego.

- Wielkie nieba, a to co!

Okrzyk pani Lancelyn-Greene uderzył go, jak by dostał obuchem w głowę.

Obrócił się zaszokowany, zasłaniając Philly. Za późno. Na dole, w Wielkiej Sali, stało całe towarzystwo: pani Lancelyn-Greene, Hermione, matka, Bellinghamowie, siostra i szwagier.

Pierwsza ciszę przerwała Althea:

- Doprawdy, Dominiku - powiedziała z oburzeniem. - Przekroczyłeś wszelkie granice.

- Dominik zapewne ma nam coś do powiedzenia - dodał Rafe z powagą.

- A gdzież tam - wtrąciła pospiesznie lady Alderley. - Nie przeczę, że zachował się nadzwyczaj

nierozważnie, ale że to... - szukała gwałtownie słów - Trzech Króli zaraz... i jemiola... jeszcze ta sztuka. Och, wiedziałam, że to wszystko...

- Mamo - nie zdzierzyła Althea - na galerii nie ma żadnej jemioly, jemiola wisi tutaj, w sali.

Dominik spojrział na Philly. Była blada jak płótno, przerażona. Nie najlepszy moment na oświadczenia. Psiakrew! Miał ją poprosić o rękę, zanim rzucił się całować.

- Dajcie spokój - powiedział Bellingham z jowialnym uśmiechem. - Nie ma co robić dramatu. Philly zna Dominika zbyt dobrze, żeby brać go poważnie. Takie tam... niewinne swawole. Pewnie nie zapomni, gdzie wisi jemiola. Sam bym nie zapomni, gdybym trzymał w ramionach taką ślicznotkę - dodał, zerkając na Philly sprośnym okiem.

Gdyby Dominik miał wujka pod rękę, zabiłby go na miejscu.

- Wybaczcie - powiedział chłodnym tonem, chociaż wszystko się w nim burzyło. - Mamy z Philly coś ważnego do omówienia.

Ruszyła za nim obojętnie. Było jej wszystko jedno, dokąd idzie. Dominik zaraz się jej oświadczył. Jako człowiek honoru nie miał innego wyjścia. Poczucia łyzy pod powiekami. Będzie oczywiście nalegał, by go przyjęła, a nie odrzucała oferty.

Weszli do biblioteki i Dominik zaprosił ją, by usiadła w fotelu przy kominku.

- Przepraszam cię, Philly, nie chciałem, żeby tak to wypadło.

- Nic się nie stało. Śmiem powiedzieć, że to tak samo moja wina, jak twoja, i...

- Twoja wina? Jakim sposobem miałyby to być twoja wina?

Zaczerwieniła się.

- Nieważne. Rodzina nie będzie rozgłaszała przecież tego zdarzenia, zatem...

Powiedział w kilku niecenzuralnych słowach, co myśli o „rozgłaszaniu”, po czym oznajmił:

- Nie dlatego proszę cię o rękę.

- Nie musisz mi się oświadczać, naprawdę.

- Owszem, muszę.

Zapadła na moment cisza, po czym oboje powiedzieli niemal równocześnie:

- Chciałem to zrobić inaczej...

- Proszę... Ja nie chcę....

Serce mu stanęło. Ona nie chce? Myślał, że go kocha. Skoro jednak nie... Nadal jej pragnie. Niezależnie od wszystkiego. Na każdych warunkach. Nie, nie na każdych. Gdyby wiedziała, jak bardzo ją kocha, może zgodziłaby się, z litości...

W Philly na jedną krótką chwilę obudziła się nadzieja. Patrzył na nią z taką desperacją w oczach. Pragnął jej jednak. Kochał ją. Zależało mu. Dlatego się oświadcza.

- To bardzo rozsądne rozwiązanie, kochanie - powiedział, siląc się na rzeczowy ton.

- Rozsądne? - powtórzyła ze ściśniętym gardłem.

- Owszem. Dla nas obojga. My... lubimy się, ja potrzebuję żony, ty domu. Cóż lepszego niż się pobrać - zadał ostatni cios.

- Dziękuję bardzo, Dominiku, ale lepiej nie.
- Nie chciała „rozsądnych rozwiązań”.

- Philly, nie oświadczam ci się dlatego, że przyłapano nas na pocałunku. Odwrotnie, pocałowałem cię, bo chcę się z tobą ożenić. - Uśmiechnął się blado. - Pomyliłem kolejność. Najpierw miałem się oświadczyć, potem cię pocałować.

Po policzku Philly spłynęła jedna samotna łza.

- Wybacz, milordzie, ale nie dzielę twoich uczuć.

Wyszła, zostawiając Dominika wstrząśniętego do głębi. Odrzuciła jego oświadczenia. Mylił się zatem, sądząc, że go kocha.

Siedział bez ruchu, zapatrzony w ogień, kiedy drzwi się otworzyły i weszła matka z tragiczną maską na twarzy.

- Mój biedny chłopcze - przemówiła od progu. - Wiedziałam, że to się tak skończy. Ostrzegałam cię, ale mnie nie słuchałeś. Ciotka Bellingham nie może dojść do siebie. Nie musiałeś... Teraz za późno. Kiedy ślub? - zapytała z rezygnacją osoby idącej na ścięcie.

- Dostałem kosza.

- Słucham?! - Lady Alderley rozpogodziła się w jednej chwili. - Mój Boże, cóż to za szczęście. Trzeba, by wszyscy zaraz się dowiedzieli, że twoja wspaniałomyślna propozycja została od-

rzucona, bo inaczej Philly jeszcze zmieni zdanie. Zaraz po świętach wyjedzie z Bellinghamami. Tak będzie najbezpieczniej. Nie masz żadnych zobowiązań i...

- Dość już - przerwał ten potok wymowy.
- Philly zostanie tutaj - oznajmił spokojnie.
- Podtrzymuję swoją względem niej propozycję.
- Chyba że - serce ścisnęła mu się tę myśl - chyba że będzie wolała wyjść za kogoś innego.

Nie zauważył nawet, kiedy matka wyszła. Ocknął się, dopiero kiedy znowu rozległo się pukanie do drzwi i Groves zostawił pocztę na biurku. Kilka listów do matki, trzy do niego od przyjaciół z Londynu i wreszcie list od Hender sona. Jego pełnomocnik zawiadamiał, że zabezpieczył pieniądze dla Philly i informował o pewnym szczęśliwym obrocie spraw, załączał też stosowny dokument. Dominik z najwyższym niedowierzaniem wpatrywał się w papier, po czym schował go do biurka.

Następnego dnia od samego rana Philly mu siała powtarzać wszystkim, że „nie wychodzę za Dominika”. Upewniano się, czy naprawdę w tym krótkim zdaniu zawarte jest słówko „nie”. Rafe wziął ją na bok i oznajmił z powagą, że popełnia wielki błąd. Althea chciała koniecznie poznać datę ślubu. Bellingham nazwał ją sprytną kocičką i mrugnął znacząco. Lady Bellingham i lady Alderley szeptały cały czas między sobą i posyłały w jej stronę mroczne spojrzenia. Nie

wspomniawszy już o paniach Lancelyn-Greene, które najchętniej by ją zamordowały.

Tylko Dominik zniknął. Zamknął się w bibliotece, ku najwyższej irytacji pani matki.

Philly wymknęła się z domu. Musiała zebrać myśli, a przy nadających ciotkach i zachwyconej perspektywą ślubu Althei było to niemożliwe. Ruszyła do wsi. Pan Rutherford ucieszył się z wizyty, poczyta mu trochę, uspokoi się... Oczywiście ją po nieprzespanej nocy. Dlaczego nie powiedziała „tak”? Bardzo by się przeraził, gdyby zdradziła mu, jak bardzo go kocha-

Dlaczego ją wybrał, zamiast jakiejś miłej, i co ważniejsze, zamożnej i utytułowanej panny. Ona nie była ani zamożna, ani utytułowana. Oświadczył się z litości? Martwił się o jej los?

Tak, tego bała się najbardziej, że Dominikiem kierowała litość, poczucie obowiązku.

Alex przywitał ją serdecznie, gdy stanęła w progu proboszczówki.

- Co cię sprowadza, Philly? Wieści szybko się rozchodzą - dodał z uśmiechem. - Gratulacje, moja droga.

Philly wyprostowała się, wysunęła brodę.

- Odmówiłam lordowi Alderleyowi.

- Odmówiłaś? - Twarz Aleksa wyciągnęła się.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy godzinę później Alex odprowadzał Philly do drzwi, był zdecydowany, że musi podjąć jakieś działania. Niewiele się od niej dowiedział, ale było jasne, że gdyby nie chciała wyjść za Dominika, nie byłaby taka smutna z powodu danego mu kosza.

Co oznaczało... Musiał dobrze rozważyć sytuację. Pośredniczenie między dwojgiem ludzi, odgrywanie roli Kupida zawsze uważał za mocno nie właściwe. Pomachał Philly na pożegnanie i zamknął drzwi.

Jutro Trzech Króli i po świętach. Boże Narodzenie to czas miłości, a miłość, każda miłość jest święta, tylko czasami ludzie są na nią ślepi, i wtedy właśnie potrzebny jest przyjaciel, który w sposób delikatny uświadomi im błąd.

- Sir? - zawołał w stronę bawialni. - Wy chodzę. Z posługą duchowną.

- Daj mu przez łeb jakimś ciężkim przedmiotem - prychnął Rutherbridge. - Małżeństwo z rozsądku, rzeczywiście!

Alex zaśmiał się.

- Wielebny pan Martindale, milordzie.

Dominik uniósł głowę znad biurka.

- Gratulacje - powiedział Alex od progu.

- Najwyraźniej nie wszystkie wieści dotarły do wsi. - Prawdziwa niespodzianka. Matka robiła wszystko, by stało się inaczej.

- Czego mianowicie nie wiem? - zainteresował się Alex witany entuzjastycznie przez Bena.

- Spokój, psinko. Przy Philly zachowujesz się znacznie lepiej.

- Philly mnie nie chce - wyjaśnił Dominik krótko.

Alex uniósł brwi. Kiedy to robił, Dominik nieodmiennie miał ochotę mu przyłożyć.

- Słyszałem. Powiedziała mi, kiedy życzyłem jej szczęścia. Niezwykłe. Jesteś jedynym człowiekiem, jakiego znam, który oświadczył się zakochanej w nim bez pamięci dziewczynie i nie został przyjęty.

Miał właśnie poradzić Aleksowi, żeby pilnował swojego nosa, ale zaniemówił z wrażenia. Chyba się przesłyszał...

- Doprawdy, dokonałeś rzeczy niebywałej i chyba się domyślam, jak to zrobiłeś.

Dominik odzyskał wreszcie mowę.

- Jeśli sugerujesz, że celowo oświadczyłem się w taki sposób, by zostać odrzucony... - Dotąd mówił względnie spokojnie, teraz zawrzał: - Do kroćset! Chciałem się oświadczyć, nosiłem się

z takim zamiarem! Masz mnie za skończonego łajdaka? Jak śmiałbym całować Philly, gdybym nie chciał się z nią ożenić?

Cholerne brwi znowu powędrowały w górę, co tym razem miało oznaczać sceptycyzm.

- Dlaczego? - spytał głos spod brwi.

- Co dlaczego? - Dopiero teraz mózg Dominika sformułował kwestię, nad którą wysilał się od dobrej chwili. - Skąd wzięła ci się myśl, że Philly mnie kocha?

- Bo podała to właśnie jako powód, dla którego dała ci kosza.

Co takiego?

Alex kontynuował:

- A moje pełne pytanie brzmi: dlaczego oświadczyłeś się Philly? Pomijam już, co wiem od Althei, że zostałeś przyłapany na tym, jak ją całowałeś, chociaż w pobliżu nie było choćby jednej małej jemioli.

Urażony w swojej dumie Dominik przeklął wszystkie jemioli i oznajmił:

- Oświadczyłem się, bo tak się składa, że ją kocham, durniu.

- Coś podobnego? - zdziwił się Alex. - Udało ci się jakoś pominąć ten szczegół. Czasem warto w podobnych sytuacjach wspomnieć osobie, której się oświadczamy, o żywionych do niej uczuciach, zamiast opowiadać, że wasze małżeństwo to bardzo rozsądna decyzja i że powzięłeś zamiar zaopiekować się bezdomną sierotką, bo wydaje ci się to czynem szlachetnym. Na litość boską,

Dominiku! Mnie potrafiłeś bez wielkiego wysiłku powiedzieć, co czujesz, a jej tego oszczędziłeś?- Co ty sobie wyobrażałeś ?

Co sobie wyobrażał? Ba, żeby to wiedział. Teraz natomiast wiedział z całą pewnością, że zachował się jak patentowy osioł.

- Ona... mnie kocha?

- I owszem, kocha.

Dominik wstał z fotela i podszedł do okna. Dlaczego w takim razie go odrzuciła?

„To bardzo rozsądne rozwiązanie, kochanie... Dla nas obojga. My... lubimy się, ja potrzebuję żony, ty domu. Cóż lepszego niż się pobrać...". Przypomniał sobie, że po tych słowach pobladła, cała krew odpłynęła jej z twarzy.

Zamknął oczy. Jeśli rzeczywiście go kochała, rozumiał już, dlaczego odrzuciła jego oświadczenia. Z tego samego powodu, dla którego nie powiedziała mu o utracie posagu. Nie chciała łaski, dobroczynności. Tak jak on nie chciał litości dla siebie. Zaklął siarczyście i obrócił się do Aleksa.

- Zrobiłem z siebie straszniego idiotę, prawda?

- Szczera prawda z ust twoich płynie - Alex uśmiechnął się lekko - ale szybko się uczysz. Pytanie tylko, jak szybko potrafisz zastosować otrzymaną lekcję w praktyce?

Nie miał szans porozmawiać z Philly. Przez całe popołudnie strzegły jej panie, a przy kolacji wyszło na jaw, że ma spać na dostawianym łożku

w pokoju Hermione. Do diabła, czyżby rodzina uznała, że jest aż takim bezecnikiem, żeby...?

- Zostaw to mnie - mruknął Alex, kiedy panowie zasiedli po kolacji do partyjki wista.

- Co mam ci zostawić? - zdziwił się Dominik. Jego rozterki duchowe musiały być dla kuzyna aż nazbyt czytelne. Ciekawe, czy parafianie zdawali sobie sprawę, że ich wikary posiada, oprócz różnych innych talentów, dar czytania w myślach? Chyba nie, bo w przeciwnym razie wszyscy jak jeden przenieśliby się do kościoła metodystów, usytuowanego na drugim końcu wsi.

- Postaram się tak wszystko ułożyć, żebyście mogli zamienić kilka słów na osobności. A teraz skup się na kartach.

Następnego ranka Philly została wezwana przed oblicze lady Alderley.

- Drogi Alex mówi mi - zaczęła ciotka chłodno - że biedny pan Rutherbridge w ostatnich dniach prawie nie wstaje z łóżka. Cóż, biedakowi stuknął już ósmy krzyżyk. Chciałabym posłać mu butelkę porto, może też brandy.

- Och... - Philly zdumiała się. Kiedy poprzedniego dnia widziała wielebnego, miał się dosko nale.

- Mogłabyś zanieść mu prezenty. Alex mówi, że staruszek bardzo się cieszy z twoich wizyt, lubi, kiedy mu czytasz. A do przedstawienia zdążysz się jeszcze przygotować. - Lady Alderley zacisnęła usta i Philly wiedziała doskonale, co to

oznacza: wielką pretensję, że Dominik ciągle widzi ją w roli Pięknej. - Lady Bellingham wyjeżdża za kilka dni - usłyszała jeszcze na odchodnym. - Zaprasza cię do siebie, moja droga. Oczywiście wyraziłam zgodę.

Ledwie wyszła z parku otaczającego posiadłość i zgłębiła się w las, usłyszała wołanie za sobą i w chwilę później dogonił ją Dominik.

- Muszę z tobą porozmawiać - oznajmił lekko zadyszany i uśmiechnął się.

Do niej... Dla niej... Muszę uważać, muszę być ostrożna, powiedziała sobie.

- Jeśli chcesz ponowić swoje oświadczenia... - zaczęła.

- Nie - przerwał jej. - Nie myślę już o tym.

- To dobrze. - Tak lepiej. Bała się, że gdyby raz jeszcze poprosił ją o rękę, mogłaby się zgodzić. Poczowała wielką ulgę. I ołowiany ciężar na sercu. Czy ołów może występować pod postacią lodu? Najwidoczniej może.

Ujął jej dłoń, wsunął sobie pod ramię i przez chwilę szli w milczeniu.

- Przedwczoraj nie byłem z tobą całkowicie szczery - odezwał się w końcu. - Wymieniłem wszystkie rozumne powody, dla których powinienśmy się pobrać, ale nie powiedziałem o najważniejszym.

- O najważniejszym?

Zatrzymał się i wziął ją w ramiona.

- Tak, byłem głupi, zabrakło mi odwagi...

- Uśmiechnął się ponownie i była w tym uśmiechu sama czułość. Przygarnął Philly do siebie.

Wiedziała, co teraz zrobi. Pocałuje ją. Powinna się odsunąć, inaczej straci kontrolę nad sobą i powie coś niewybaczalnego, niedopuszczalnego. Na przykład: „Kocham cię”.

- Dziękuję ci, najdroższa. - Rozpromienił się, jego twarz jaśniała szczęściem.

Philly zdała sobie sprawę, że wypowiedziała te dwa niebezpieczne słowa. Wymówiła je na głos!

- Jesteś moja. Nie pozwolę ci już odejść.

Nie powiedział tego, ale ona wiedziała. Nie musiał nic mówić. Teraz rozumiała, dlaczego zapewnił, że nie ponowi oświadczyn. To były inne oświadczyzny, inna propozycja.

- Idę do pana Rutherbridge'a...

- Tak? Wybornie - ucieszył się Dominik.

- Też chętnie się z nim zobaczę.

- Chcesz... prosić go o pozwolenie na ślub?
- zapytała cicho.

Na jego rozanielonej twarzy pojawił się diabelski uśmiezek.

- Być może wspomnę coś na ten temat.

Wieczór Trzech Króli. W Wielkiej Sali Alderley zebrali się goście domu i wystrojoni odświętnie dzierzawcy. Na scenie Piękna i Bestia.

- Pokażesz mi swoją łapę, Bestio? - Dźwięczny głos Pięknej docierał do każdego zakątka sali.

Alex stojący obok Briggsa wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź Bestii.

- To nic, kolec tylko, służący go wyjmie.
- Ściana obojętności.

- Proszę, Bestio.

Okaleczona dłoń wędruje do kieszeni, Bestia odwraca się plecami do Pięknej.

- Nie będziesz oglądała wstrętnej łapy Bestii.
Piękna kładzie rękę na ramieniu Bestii.

- Chcę pomóc mojemu przyjacielowi.

Alex przypomniał sobie, jakim widział Dominika w Londynie zaledwie kilka tygodni wcześniej: zgorzkniałego, niepewnego siebie... drażliwego...

Bestia powoli, bardzo powoli obraca się ku Pięknej.

- Jestem twoim przyjacielem? - Ostrożne, zadane chłodnym, szorstkim tonem pytanie.

Tak, głupcze! Jak możesz wątpić? Przez moment Alex miał wrażenie, że wykrzyczał te słowa na głos.

Na twarzy Pięknej pojawia się uśmiech.

- Najdroższym.

Dalej, uwierz jej wreszcie.

Bestia ostrożnie, z wahaniem kładzie łapę na otwartej dłoni Pięknej, a ona patrzy na nią długo.

- Co się dzieje, *ma belle*?

- Twoja... twoja dłoń.

Przez twarz Bestii przebiega bolesny grymas.

- To nie dłoń, to łapa. Nie żartuj sobie ze mnie.

- Nie żartuję, Bestio. Masz mnie za kłamczuchę?

Łapa Bestii spoczywa w dłoni Pięknej.

Aleksowi przemknęło przez głowę, czy między Philly i Dominikiem też rozegrała się podobna scena, kiedy trzeba było podjąć ryzyko i kiedy zostało ono podjęte.

- Najwyższy czas! - mruknął Briggs. - Może my się już nie martwić o niego, sir. - Mrugnął do Aleksa i stracił zainteresowanie dalszym biegiem przedstawienia.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Briggs właśnie przygotowywał łóżko, kiedy Dominik wrócił do sypialni po zabawie dziewcząt. Dziwne, bo wychodząc z Wielkiej Sali, widział go tam, jak konferował z Grovesem. Prawdziwa błyskawica.

- Udany wieczór, sir - przywitał Dominika.
- Wszyscy świetnie się bawili.

Hm. Briggs był wyraźnie zdyszany. Dominik skinął głową, rozejrzał się po pokoju.

- Dziękuję. Jesteś już wolny, możesz kłaść się spać.

Briggs zrobił dziwną minę, jakby chciał się wyszczerzyć w uśmiechu i szybko rozmyślił.

- Życzę dobrej nocy, sir. Proszę zadzwonić na mnie rano.

- Po co, u diaska? - zdumiał się Dominik.
- Obudź mnie o zwykłej porze. - Sam się obudzi, rozgoryczony przedłużającym się celibatem.

- Jak pan sobie życzy, sir. - Briggs odchrząknął. - Byłem dzisiaj we wsi. Zamieniłem kilka słów z Ellie Judd.

Dominik nastawił uszu. Ellie Judd, gospodyni na probostwie.

- Briggs?
- Tak jest, milordzie?
- To wszystko.
- Słucham jaśnie pana.

Drzwi się zamknęły za Briggsem i czartem, co go miał za skórą, sądząc po jego dziwnych minach.

Dominik rozebrał się, postawił lichtarz na szafce nocnej i położył się do łóżka. Ciężko, bardzo ciężko kłaść się samemu. Uderzył pięścią w poduszkę. Nie mógł zapomnieć o słodkich pocałunkach Philly. Philly... Nie, tylko skończony nicpoń ciągnąłby ją do łóżka.

Drzwi się otworzyły i szybko zamknęły, Dominik zamarł.

- Briggsi
- Żadnej odpowiedzi.

Zaniepokojony usiadł w pościeli. Hermione nie byłaby pierwszą damą gotową na rozkosze alkoholu. .. Narzucającą się... Bardzo kłopotliwa sytuacja.

Dopiero teraz ujrzał wiotką sylwetkę w blasku idącym od kominka.

- To ja - szepnęła.
- Philly... - Zaszło mu w gardle, odchrząknął, spróbował raz jeszcze. - Philly, co tutaj robisz? - Zaklął w duchu. Nie mógł chyba zadać bardziej idiotycznego pytania.

- Nie śpi się zbyt wygodnie na dostawianym łóżku. Poza tym... Hermione chrapie - dodała z desperacją.

Zduślił narastający w gardle śmiech. Wszystko mówiło mu: „nie wzbraniaj się”, uczynił jednak, wbrew sobie, heroiczny wysiłek i spytał:

- Czy wiesz, co robisz? - Musiał mieć absolutną pewność, że Philly tego pragnie.

- Nie... Chyba nie... ale pomyślałam o tobie... Kocham cię.

Miał wrażenie, że pęka mu serce. Dwa proste słowa, prosta decyzja, gest... a mieściło się w tym wszystko, cały świat.

- Naprawdę tego pragniesz? Wiesz, Althea powiedziała mi, że wyglądam jak stary pirat...

Philly roześmiała się.

- Nie powiedziała ci nic więcej?

- O czym miała mi powiedzieć?

- O marzeniach niewinnych panien, ma się rozumieć.

Teraz to on parsknął śmiechem.

- Nie wiem nic o niewinnych pannach i ich marzeniach. - Przygarnął Philly do siebie. - Znam tylko jedną. I jestem gotów spełnić każde jej marzenie. Powiedz mi, kochanie, o czym marzą niewinne panny?

- O piratach, rzecz jasna. I o bestiach - dodała prowokującym tonem. - Bardzo nieutemperowanych bestiach.

Chichotał niczym niewinna panna.

- Zapewniam cię, że masz oto do czynienia z bestialskim i kompletnie nieutemperowanym piratem. Już nic nie mów. - Schylił głowę do pocałunku. - Jesteś piękna. I już na zawsze moja...

Obudziły ją ściszone głosy. Ktoś otwierał i za mykał drzwi. Obróciła się na bok zaspokojona, odprężona, szczęśliwa... Poczwała, że obejmują ją czyjeś ramiona.

- Dominik?

Zaśmiał się.

- Myślałaś, że mógłby być ktokolwiek inny?

Otworzyła oczy i spojrzała w nachyloną nad nią twarz.

- Z kim rozmawiałaś?

- Z Briggsem. Robił mi poranny masaż.

- Usiadł w pościeli. - Jak każdy szanujący się bestialski pirat miałbym ochotę zostać z tobą w łóżku przez resztę dnia, ale coś mi się zdaje, że musimy się jednak ubrać i zejść na śniadanie.

- Ale ja nie mam sukni...

- Masz. Poprosiłem Briggsa, żeby o to zadbał. Powiada, że w domu panuje istne pandemonium. Wszyscy cię szukają...

- Co? - Philly poderwała się z poduszek.

- Chyba nie jest aż tak późno? - Spojrzała na zegar stojący na kominku. Było bardzo późno.

- Co mam powiedzieć? - szepnęła, zatrzymując się przed drzwiami pokoju śniadaniowego.

- Znajdziesz właściwe słowa. - Dominik naciśnął klamkę.

Weszła i znieruchomiała. Między Altheą i Rafe'em siedział...

- I cóż tam, moje dziecko- - Znajomy, jakże dobrze znajomy głos.

- Papa! Och, papa! - Podbiegła do szczupłego, siwego pana.

Dominik obserwował powitanie córki z ojcem przez łązy. Kiedy obudził się rano, był pewien, że nic już nie jest w stanie uczynić go bardziej szczęśliwym, tymczasem kiedy Briggs mu powiedział... Spojrzał na Altheę i zrozumiał, że natychmiast musi pożyczyć jej swoją chusteczkę.

Philip Wintercombe też miał łązy w oczach, kiedy podniósł wzrok na Dominika.

- Dziękuję ci, mój chłopcze, że opiekowaliście się Philly. Nie wiesz, jak strasznie się o nią niepokoiłem przez ostatnie dwa... trzy lata.

- Co się z wujem działo? - Dominik uściśnął mu dłoń.

Przez twarz Wintercombe'a przemknął grymas.

- Złamałem nogę w górach. Tak nieszczęśliwie, że przez kilka miesięcy nie mogłem w ogóle się ruszyć. A kiedy już mogłem, przyszła kolejna zima i znowu byłem unieruchomiony. Mieszkałem w tybetańskiej wiosce, miejscowi mnie przygarnęli. Nie znałem dialektu, nie mogłem przekazać żadnej wiadomości. Prawdziwy pech mnie prześladował, bo kiedy już zdawało się, że będę mógł opuścić gościnną wioskę, znowu zapadłem na zdrowiu i musiałem przeczekać w górach kolejną zimę.

- Służba nigdzie nie może jej znaleźć, kuzyńce. - Do pokoju śniadaniowego wkroczyła lady Alderley w towarzystwie pań Lancelyn-Greene i Bellinghamów. - Och... widzę, że jednak się odnalazła - stwierdziła zupełnie niepotrzebnie.

- Dziwna doprawdy okoliczność - dodała z niewinną miną Hermione. - Wyszła wieczorem z pokoju po książkę do biblioteki, nie wróciła, a rano Briggs przyszedł po suknię. Bóg jeden wie, gdzie przepadła.

Dominik nie tak chciał ogłosić swój i Philly uczynek, ale cóż, trudno.

- Nie jeden Bóg, Hermione - powiedział z kamienną twarzą.

Wintercombe rzucił mu groźne spojrzenie i objął córkę opiekuńczym gestem.

- Chcesz ze mną może zamienić słowo, Alderleys-

- Nie ma powodów, papo - wtrąciła Philly.
- Nie rozumiesz. My...

- Tak, my... w rzeczy samej, kuzynie Philipie - przyświadczył Dominik. - Trzeba tylko spisać intercyzę. - Żał mu się zrobiło biedaka. Nieczęsto marnotrawny ojciec wraca po latach, by stwierdzić, że jego córka podniosła się właśnie z łoża nieśmierdzącego groszem nicponia.

- Może pierwaj powinienem dać zgodę? - padło lodowate pytanie.

Dominik zastanowił się nad taką ewentualnością. Cóż, trochę za późno na pytanie o zgodę... Niemniej wypadało uczynić zadość obyczajowi.

- Mam zaszczyt prosić cię, poniewczasie, co prawda, o rękę twojej córki...

- Poniewczasie, powiadasz, Alderley?- Czy to znaczy, że...?

- Dominiku - zawołała Althea. - Czy ty...?

- Wzięliśmy ślub wczoraj rano na probostwie.
Hermione otworzyła szeroko usta.

- Być nie może!

- Ależ może - zapewnił ją Dominik.

Rafe odchylił się w krześle i wybuchnął serdecznym śmiechem.

- Wzięli ślub... - tchnęła lady Alderley. - Dla czego, Dominiku? Nie było potrzeby...

Niemal słyszał szalejące myśli drogiej mameczki: „A nuż była potrzeba?..

- Świadkowie? • Byli jacyś? - spytała srogim głosem lady Bellingham.

- Pani Judd, gospodyni Rutherbridge'a, i Alex - odparł Dominik spokojnie i zwrócił się do Philipa: - Wybacz, kuzynie, że rzecz odbyła się bez twojej wiedzy i twojego przyzwolenia, ale... nie spodziewaliśmy się ciebie - powiedział tak delikatnie, jak potrafił.

- To prawda, Alderley. Więc jesteście małżeństwem, co? - Teść wicehrabiego wydawał się całkiem udobruchany. - Bierz zatem Philly, daję ci ją. - Chwyć bez wahania okaleczoną dłoń Dominika i złożył w niej dłoń córki.

Althea odetchnęła z ulgą i pociągnęła ze wzruszenia nosem.

- Jakie to cudowne - zachwyciła się, ocierając łzy. - Już nie musisz wyzywać go na pojedynek, Rafe.

Philip Wintercombe nie zmartwił się ani trochę wiadomością o straconym posagu córki.

- Chcesz mi powiedzieć, żeś brał ją bez grosza, Alderley? - zapytał z dziwnym wyrazem twarzy, kiedy usiedli po kolacji w bibliotece przy szklaneczce brandy. - Gdy sam w dodatku nie masz naj lepszej sytuacji?

- Nie jest aż tak źle - zapewnił teścia Dominik. - Wiem, chciałbyś dla niej lepszej partii, ale damy sobie radę.

Wintercombe zaśmiał się.

- Nie mógłbym chcieć lepszej partii. Pominąwszy pieniądze, które dla niej składałem, a które nieszczęściem przepadły, mam coś jeszcze... W złocie, klejnotach, rozmaitych egzotycznych starożytnościach. Będzie tego niezła fortunka.

- Uśmiechnął się i powtórzył z niedowierzaniem: - A tyś ją brał bez grosza, kiedy ja cały czas myślałem, jak ochronić Philly przed łowcami posagów.

- Łowcami posagów?

- A jakże. To szczerwane lisy, w przeciwieństwie do tych, co potrafią zakochać się w pannie bez pamięci. - Uniósł kieliszek w toaście.

- Nie żałujesz swojej decyzji, kochanie? - zapytał Dominik, kiedy po rozmowie z teściem wrócił do swojej sypialni, gdzie czekała już na niego Philly.

- Niczego nie żałuję, ale... gdybyśmy zaczekali jeden dzień...

- Gdybyśmy zaczekali jeden dzień, twój ojciec by mnie zastrzelił - stwierdził rzeczowo

Dominik. - Widziałaś, jaką miał minę, kiedy Hermione oznajmiła radosną wiadomość?

- Tyle że ja nie „przepadłabym Bóg jeden wie gdzie”, gdybyśmy nie...

- Nie? - zapytał pirat, biorąc żonę w ramiona.

- Może ty nie przyszłabyś do mnie, ja natomiast nie gwarantuję, że nie przyszedłbym do ciebie.

- Nie zrobiłbyś tego!

- Piraci są nieobliczalni, pamiętaj. Oraz bestialscy do szpiku kości. I absolutnie nieutemperowani.

- Zapamiętam to sobie - szepnęła Philly.

Uśmiechnął się.

- Wiesz, tak naprawdę to Briggs o wszystkim zdecydował. Przypuszczam, że pomagała mu połowa służby. A teraz spójrz na górę...

Philly poszła za wzrokiem męża i oniemiała na moment. Pod baldachimem łoża wisiała gałązka jemioli.

- Nie było jej chyba tutaj ostatniej nocy?

- Parsknęła śmiechem.

- Chcesz powiedzieć, że jej nie zauważyłaś?

-W jego głosie zabrzmiała męska duma. - Bardzo mi to pochlebia. Zieleń, rośliny... oznaczają płodność. -I wszystko wskazywało na to, że kwestię płodności Dominik traktuje nadzwyczaj poważnie.